

Mordercy przebudowy są wśród nas (str. 2-3);
Kolumbowie z Lublina (str. 4); Zjadliwy
pamflet na poetę (str. 8); Trockiego walka
o władzę (str. 12-13)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

NR 13 (911)

26 czerwca 1988

Cena 35 zł

Potrzebna większa życzliwość historii

Rozmowa z Tetsuo Imaizumi, warszawskim korespondentem gazety „Yomiuri Shimbun”

— Niektóre poważne nawet czasopisma, jak choćby „Newsweek” czy „Time”, nie utrzymują w Warszawie stałych korespondentów, a jedynie polskich researcherów. Na czym polega więc nośność informacyjna naszego kraju dla Japończyków?

— Japonia posiada dwa biura prasowe urzędujące stale w Warszawie. Jest to przedstawicielstwo mojej gazety i Japońskiej Agencji Prasowej. Inni komentatorzy, zainteresowani problematyką Polską, przebywają w Wiedniu i pojawiają się tutaj, od czasu do czasu, głównie z racji jakichś ważnych, bieżących wydarzeń. Stale przebywanie jednak w waszym kraju posiada oczywiście zalety. Daje ono dziennikarzom możliwość głębszego wejrzenia w jego wewnętrzne sprawy, otarcia się o rytm, według którego ten kraj czuje. Mając okazję do bezpośrednich rozmów z Polakami, uczestniczenia na miejscu w ważnych wydarzeniach, dziennikarz staje się bardziej obiektywny. A to stanowi istotę pracy dziennikarskiej. Trudno wyobrazić sobie inaczej formułowanie poważnych i uczciwych sądów. „Yomiuri Shimbun” to gazeta, która stara się być wszędzie tam, gdzie coś się zdarza, i która zdecydowanie preferuje informacje „z pierwszej ręki”. Stąd moja obecność tutaj, przy czym mam również za zadanie dziennikarską penetrację innych krajów socjalistycznych, z wyłączeniem Związku Radzieckiego. Tam mamy także swojego stałego przedstawiciela.

Co do informacyjnej nośności Polski: kraj wasz stanowi przecież istotny punkt strategiczny w Europie. Jest drugim najważniejszym państwem bloku, a w ostatnich latach dokonały się tu ponadto znaczące polityczne zmiany, które zwróciły uwagę całego świata. Także Japonii. Również teraz, kiedy nastroje nieco przygasły, zachodzą w waszym kraju nader interesujące procesy. Gdyby nawet Polska jako taka nie przyciągała w całości uwagi japońskiego czytelnika, to na pewno interesuje się on żywo tym, co dzieje się w całym bloku komunistycznym. A Polska, jak już powiedzieliśmy, jest tego bloku ważną i interesującą składową. Myślę, że bardziej liberalna polityka wizowa sprowadziłaby do Warszawy znacznie większą liczbę japońskich dziennikarzy.

Opinię publiczną w moim kraju bardzo obchodzą przemiany, zachodzące obecnie w Związku Radzieckim, „pieriestrojka” zainicjowana przez pana Gorbaczowa. Jest rzeczą również ciekawą, jak szeroko zmiany te się rozprzestrzeniają, jak bywają przetwarzane w innych krajach obozu. Cały system socjalistyczny znajduje się obecnie w stanie gorączkowej przebudowy. Pojawiły się zjawiska historycznie nowe: strajki w Polsce, ostry konflikt między państwem a Kościołem w NRD, niepokoje społeczne w Rumunii, a także próby wypracowania nowego ukta-

Dokończenie na str. 12—13

Fot. Tadeusz Jan Chmielewski

Wszyscy klasycy marksizmu-leninizmu lubili piwo. Mordercy przebudowy są wśród nas. Jeżeli nie broni się demokracji, nie można żądać demokracji.

tak już jest nieludzka, a jeszcze narzuty tych wszystkich, którzy zarabiają na każdym deficycie. Czy mało mamy stałych deficytów, czy musimy jeszcze dorzucać do nich deficyt płynny? Wszystko to uderza nie tyle w pijaków, ile w ich żony i dzieci [...].

Walkę z alkoholizmem zastąpiła walka przeciwko legalnej wódce, legalnemu wину, legalnemu piwu. Państwowa wódka i wino, chociaż ich jakość w ostatnich latach znacznie się pogorszyła [...], ustąpiły miejsca pędzonemu czasem nie wiadomo z czego samogo-

tem niedawno rehabilitowanych nazwisk, jak żądanie zamknięcia ust jawności, to nie powinien zasłaniać się interesami ideologicznymi. To, co się robi w interesie własnych wysuwających się spod człowieka foteli, to nie ideologia, lecz fotelologia. Między zwolennikami i przeciwnikami przebudowy — ciągnie swój wywód Jewtuszenko — jest jeszcze, niestety, dosyć liczna grupa, którą nazwałbym «pojękiwaczami». To ci, którzy jęczą, że nie ma cukru i czegoś tam jeszcze, a jednocześnie, nie kiwnąwszy palcem, obojętnie przyglądają się, jak inni chcą zdławić pieriestrojke. Chcą

pach, w zakładach fryzjerskich, pralniach chemicznych, w autoserwisie, w restauracjach, hotelach, w kasach teatru i w kasach «Aeroflotu» [...]. Przez cały czas usiłujemy gdzieś się wojsnąć, coś wyblagać, jak nędzni żebracy, którzy tylko denerwują «możnych tego świata». Czasami wydaje się, że w naszym kraju wszyscy ludzie stanowią tylko obsługę sfery usług.

Poniżające jest to, że dotąd nie możemy sami siebie wyżywić, że musimy za granicą dokupywać i chleb, i mięso, i warzywa, i owoce, Istniejący

Jewtuszenko o nawykach i przebudowie

nowi, płynowi na odciski, różnym płynem kosmetycznym. Będzie to miało, ma to już zresztą, najgorsze skutki genetyczne. A jakie będzie dziecko poczęte pod działaniem «Autovidolu»? [...]. Hez cennego czasu tracą teraz nasi lekarze którzy muszą wypisywać recepty na każdą najgłupszą miksturę, na każde krople zawierające choćby odrobinię spirytusu? Zabroniono im przepisywać kompresy ze spirytusu czy wódki. Jak więc się dziwić, że nagle zniknął cukier? Przecież musiał zniknąć. I czy całe społeczeństwo, my wszyscy, a nie tylko rząd, nie powinniśmy byli tego przewidzieć? Społeczeństwo są potrzebni nie tylko tacy, którzy wbiegają wzrokiem w przyszłość, ale i tacy, którzy umieją przewidywać.

W pełni demokratyczne jest jedynie takie społeczeństwo, które całe — od góry do dołu — czuje się gospodarzem, rzędem i nie uważa, że rząd to tylko «góra», od której wszyscy wpiertw niewolniczo oczekują dyrektyw, a na którą później zrzucają winę za wszelkie błędy. Własny, tchórzliwy brak poczucia odpowiedzialności — oto co kryje się pod służalczością, gdyż bezwarunkowe wykonywanie decyzji to właśnie służalczość. Rozwoju twórczej inicjatywy mas nie da się pogodzić z nawykami uznawania jedynie inicjatywy odgórnej — kontynuuje autor. — Przymuszanie do aktywności społecznej poprzez swój nawymiotny dydaktyzm doprowadziło nasze społeczeństwo do ironicznej bierności. Przyzwyczajenie się do własnej bierności tłumiącej w zarodku potencjalną pozytywną energię wielu uzdolnionych ludzi, stwarza jednocześnie pożywkę dla negatywnej energii różnych szubrawców, którzy się wyzywają w działaniu. [...] Jeśli jednak ktoś usprawiedliwia swoje tchórzostwo tym, że nie może zrobić, to nie powinien także się skarżyć, nie powinien żądać! Nlech nie wyciąga ręki, jeśli nie potrafi zaciśnąć jej w pięść! Dosyć niekończących się listów i protestów kierowanych do «góry», czas przejść do listów i protestów kierowanych w «dół» — do siebie samych, przeciwko sobie samym. Mordercy przebudowy są wśród nas. Zabijamy przebudowę naszym brakiem odwagi cywilnej, naszym wyczekiwaniem — kto weźmie górę...

Przyszedł do mnie wczoraj pewien znany dziennikarz, był skonsternowany, zdenerwowany: «Masz dobry instynkt... Co będzie na konferencji partyjnej?». Jeśli chodzi o mój instynkt — pisze Jewtuszenko — to się omylił. Miałem dobry instynkt, ale się skończył. Wiele razy przypuszczałem, że będzie lepiej, a było gorzej. Mój instynkt zepsuł się: na lepsze oczywiście, mam nadzieję, ale na wszelki wypadek zakładam gorzej. Nie lubię tego u siebie, ale co zrobić? Nie jestem w tym osamotniony — wokół jest mnóstwo takich instynktów, z którymi historia obeszła się okrutnie. Ale memu gościowi odpowiedziałem: «Co będzie? Będzie to, co z nami, jacy my będziemy, tak będzie...».

Pieriestrojka będzie taka, jakimi my będziemy. Jeżeli wszystko będziemy robili połowicznie, to będziemy mieli półpieriestrojke. Jeżeli będziemy budować ze zbutwiałych obozowych desek — przebudowa runie. Jeżeli każdy będzie ciągnął koldre ku sobie — przebudowa zamarnie na kość».

„W kwestii samej przebudowy — czytamy dalej — nie jestem bezpartyjny, należę do partii pieriestrojki. Sporo jest takich bezpartyjnych członków partii pieriestrojki. Ale trzeba powiedzieć gorzką prawdę: wielu członków partii nie należy do partii pieriestrojki. Jeżeli członek partii popiera albo przynajmniej połowicznie popiera takie próby obrócenia wstecz koła historii, jak usprawiedliwianie bądź pół-usprawiedliwianie zbrodni stalinizmu, jak ponowne obrzucanie blo-

poprawy bytu, jednak sprowadzanie wszystkich uczuć obywatelskich wyłącznie do utyskiwań na sprawy materialne może doprowadzić do tego, że nasze życie pozostanie takim rozbitym korytem, z którego nawet świnię nie zdołają się pożywić. Czas zrozumieć, że nie ma dwóch oddzielnych przebudów — przebudowy materialnej i przebudowy politycznej. Jeżeli nie broni się demokracji, nie można żądać demokracji [...]».

Jak i kiedy ukształtowała się ta mentalność, skąd wzięły się nawyki, z których przejawami spotykamy się dzisiaj — zastanawia się J. Jewtuszenko i pisze: „300 lat pod panowaniem Tatarów, 300 lat pod panowaniem Romanowów wykształciły nie tylko cierpliwość bohaterską, kończąca się wybuchem powstań ludowych, ale również cierpliwość służalczą, godzenie się. Pierwszą rosyjską rewolucją, której niestety w żadnych podreęcznikach tak się nie określa, było zniesienie poddaństwa chłopów. Jednakże Rosja była już ostatnim krajem w Europie, który zlikwidował poddaństwo i przeskończył do socjalizmu w absolutnego feudalizmu, prawie całkowicie pomijając doświadczenia demokracji burżuazyjnej. Pluskwy feudalizmu i poddaństwa wraz z drewnianymi kuframi przeprowadziły się z oświetlanych łuczycami izb do wspólnych mieszkań doby socjalizmu. Wielu kierowniczych działaczy zachowywało się jak «czerwoni feudalowie», odbierając chłopom nie tylko ziemię, ale i dowody osobiste, co miało znaną zapaszkę pańszczyzny. Przeprowadzona przemocą kolektywizacja, w której toku naruszono leninowską zasadę dobrowolności, oznaczała brutalne podeptanie hasel: «Ziemia dla chłopów» i «Cała władza w ręce rad». Obiecywane bramy rajy okazały się pulapką. Po tym, kiedy tak okrutnie potraktowano chłopów, których uznawano za kulaków i wyniszczano zsyłając tam, dokąd pies z kulawą nogą nie zagląda, kolejne masowe okrucieństwa i montowane procesy zaczęły już wchodzić w zwyczaj. Wykształcił się nawyk.

Takich nawyków powstawało stopniowo coraz więcej — przywykliśmy do represji, do samowolnie nakładanych podatków, do przymusowego podpisywania pożyczek, do wizerunku «najlepszego przyjaciela radzieckich sportowców», do odbierania ziarna siewnego, do przekształcania cerkwi w składy warzyw, do żelaznej kurtyny, do przyklejania obelżywych etykietek uczonym, kompozytorom, pisarzom, całym kierunkom naukowym, a nawet poszczególnym gałęziom wiedzy, jak np. cybernetyce. Ścięto najlepszych ludzi. Wszystko to przypominało straszny sen: banda złoczyńców, która postanowiła wyrzucić najbardziej rasowe konie, krażyła w nocy po stajniach i «walczyła» siodłami. Konie jako rasa przeżyły, ale wiele z nich stało się końmi o mentalności myszy. Wiele nam jeszcze trzeba, by wskrzęcić naszą ludzką rasę, która poniosła takie straty. Dzisiaj niewolniczą krew trzeba wybierać wiadrami, a nie wyciskać po kropki. Nie możemy sobie pozwolić na tolerowanie własnej cierpliwości. Te nawyki są głównym hamulcem przebudowy».

„Takie godzenie się z losem to kapitulacja przed «otchłanią poniżeń» — czytamy dalej. — [...] Taką właśnie «otchłanią poniżeń» stało się nasze codzienne życie. Wpierw poniżamy się, aby otrzymać mieszkanie [...]. Potem poniżamy się, kiedy w dżungli handlu polujemy na tapety, krany, muszle klozetowe [...]. Kiedy rodzi się dziecko, poniżamy się walcząc o żłobek, przedszkole, zdobywając smoczki, papierowe pieluszki, spiszki, rajstopy, wózek, sanki, kojec. Poniżamy się w skle-

w wielu dziedzinach system kartkowy jest naszą hańbą. Poniżające jest to, że dotąd nie potrafimy sami dobrze się ubrać i gonimy za zagranicznymi szmatkami. Ubranie, jakiego wielu z nas nosi, przypomina atlas geograficzny [...]. Poniżające jest to, że dotychczas nie mamy dość lekarstw, by leczyć nasze społeczeństwo. Przykro patrzeć na weteranów wojny, którzy przychodząc do apteki, przypinają dla prestiżu wszystkie ordery i medale, a lekarstw przepisanych w recepcie i tak nie ma. Straszne jest, gdy się widzi matki miotające się jak zranione ptaki od apteki do apteki, by zdobyć lekarstwa dla swoich dzieci i jak farmaceuci nie mają odwagi spojrzeć im w oczy. Niedobór lekarstw to zdrada ludzkiego życia.

Poniżający jest brak książek — to zdrada ludzkiego ducha. Poniżający jest brak komputerów — to zdrada współczesnej technologii myślenia. Poniżające jest sztuczne przypisywanie ludzi do określanych miejsc, chociaż Konstytucja gwarantuje swobodę przemieszczania się [...]. Poniżająca i sprzeczna z Konstytucją jest procedura związana z wyjazdami za granicę — mimo wszystkich zapewnień w jej uproszczeniu [...]. Dlaczego nie miałyby się wszystkim obywatelom ZSRR dać do rąk paszportów zagranicznych na okres, powiedzmy, trzech lat, aby mogli stale wyjeżdżać w delegację, w celach turystycznych lub na zaproszenie [...]. Ale najstraszniejsze jest, gdy poniżeni przez kogoś, szukając taniej kompensacji, sami zaczynamy poniżać innych [...].

Jawność to właśnie wojna wypowiedziana tej «otchłani poniżeń». Jawność to walka o godność społeczną człowieka. Człowiek ma prawo lubić taką muzykę, jaką chce, ubierać się tak, jak chce, strzyć się tak, jak chce. Pluralizm socjalistycznej jawności to wychowywanie w duchu tolerancji, wyrabianie cierpliwości. Ale cierpliwość nie powinna przechodzić w godzenie się z żadną formą poniżania człowieka przez człowieka».

Autor kładzie nacisk na potrzebę kultury dyskusji, m. in. w środowisku pisarskim, ale podkreśla, że „walka o kulturę dyskusji w żadnym wypadku nie powinna przechodzić w walkę przeciwko samym dyskusjom. Poglądy należy ujawniać, a nie zamaskowywać. I dlatego dobrze, że czytelnikom stały się znane różne punkty widzenia na przebiegający dziś proces społeczny, a wśród nich sformułowana przez P. Proskurina teza o «nekrofilii» i sformułowana przez J. Bondariowa teza o potrzebie nowego «Stalingradu» na naszym froncie ideologicznym».

W końcowej części artykułu Jewtuszenko stwierdza, że przebudowa w sferze ducha i przebudowa w sferze ekonomiki powinny być nawzajem swymi gwarantami. „Niestety — pisze — pieriestrojka gospodarcza pozostaje dziś znacznie w tyle. Ją również, podobnie jak jawność, starają się skompromitować, spętać, zastraszyć. W gospodarce, tak jak w literaturze, też są swoje nietykalne «święte krowy», które udają, że bronią interesów narodu, właściwie bronią swojej przegrody, swojego miejsca. Dziś jawność powinna pomóc gospodarce, która nie nadąza. Jutro zaś, jeśli z jawnością będzie kiepsko, wesprze ją silnym ramieniem mocno stojąca na nogach gospodarka».

(„Literaturnaja Gazieta” nr 19/1988)

Wybić się na niepodległość

Jak to robiono w Jaszczowie i Milejowie

Autor poniższego tekstu opatrzył go listem, w którym czytamy: „Jestem nauczycielem historii w Szkole Podstawowej im. Stanisława Konarskiego w Milejowie. Cieszę się, że „Kamena” poświęca dużo miejsca zbliżającej się 70 rocznicy Niepodległości Polski. W odpowiedzi na apel Redakcji przesyłam skromny przyczynek do zagadnienia pt. »Jak wybuchła niepodległość w Jaszczowie i Milejowie.« Dołączam do tego reprodukcję dwóch zdjęć peowiaków z miejscowej placówki”.

WYDARZENIA, które przedstawiam, nie mają — o ile mi wiadomo — odbicia w literaturze ani w źródłach ogólnodostępnych. Oparłem się więc jedynie na relacjach i materiałach zebranych od — nielicznych już dzisiaj — bezpośrednich uczestników ówczesnych wydarzeń przede wszystkim od panów: Kazimierza Mankiewicza i Czesława Kasiborskiego z Jaszczowa.

W początkach XX w. wsie Jaszczów i Milejów posiadały pewne obiektywne warunki, które wyróżniały je spośród innych wsi w okolicy. Wpływały one dodatkowo na rozwój społeczno-gospodarczy tych miejscowości, jak też podno-

sili świadomość klasową i narodową ludności.

Otóż Milejów od 1907 r. było poważnym ośrodkiem przemysłu spożywczego; powstała tu bowiem cukrownia, własność spółki akcyjnej, która swą działalność produkcyjną prowadziła aż do roku 1935. W cukrowni zatrudnionych było stale około 120—150 pracowników, a w sezonie około 300. Rekrutowali się oni głównie spośród mieszkańców Milejowa i Jaszczowa. Niektórzy ludzie z Jaszczowa znajdowali jeszcze pracę na stacji kolejowej, gdyż tędy biegła linia Kolei Nadwiślańskiej. W obu wsiach — co również było istotne — mieściły się szkoły elemen-



Oddział POW przed cukrownią w Milejowie, gotowy do akcji

tarne, trzyoddziałowe, które dawały pewien zasób wiedzy, choć językiem wykładowym był język rosyjski. Podatny grunt dla swej działalności miały tu partie polityczne, takie jak Endecja i PPS. Członkowie PPS np. kolportowali pismo „Robotnik”, organizowali strajki w cukrowni i obchody 1 Maja.

Gdy wybuchła I wojna światowa, wzrosły nadzieje Polaków na odzyskanie niepodległości. Dało się to zauważyć także w naszych miejscowościach. W 1915 r., w wyniku ofensywy wojsk państw centralnych, Lubelszczyzna znalazła się pod okupacją Austro-Węgier. Tym samym szerze możliwości działania na tym terenie uzyskał obóz aktywistyczny, a zwłaszcza zwolennicy komendanta Józefa Piłsudskiego, akcentujący hasła niepodległości i czynu zbrojnego. W maju 1916 r. powstaje w Jaszczowie placówka POW (Polska Organizacja Wojskowa). Szybko skupiła ona około 60—70 młodych ludzi przede wszystkim ze wsi Jaszczów i Milejów, ale też z dalszych wsi, jak z Siostrzytowa, Łańcuchowa. Komendantami placówki byli: Julian Kowalski i Władysław Krzywicki, obaj z Jaszczowa, natomiast komendantem podobwoju był Stanisław Bartolewski z Milejowa, pracownik cukrowni.

W sierpniu 1917 r. peowiacy urządzili zasadzkę w łańcuchowskiej dolinie na austriacką kasę wojskową, przewożoną z Trawnik w stronę Łęcznej. Gdy już mieli na nią napadać, na drodze pojawił się chłopski wóz wyladowany zbożem. Wstrzymano więc akcję, ale wiadomość o kasie przekazano szybko sąsiedniej placówce, która już bez przeszkód zagarnęła ją w okolicach Zakrzowa.

Wiosną 1918 r., gdy bliska była już „jutrenka swobody”, odbył się w Jaszczowie późnym wieczorem wiec, na który przybył z Lublina poseł Duro. Mówił on gorąco o odradzającej się Polsce. Niestety, ktoś zawiadomił żandarmerię austriacką. Nie udało się jej jednak nikogo aresztować, gdyż zebrani stawili opór, po prostu ścisnęli ją między sobą. Dopiero, jak przyjechała kompania wojska i rozeszła się po wsi, wówczas schwymano z pięć osób i osad-

zono w więzieniu na Zamku w Lublinie.

Wreszcie nadszedł pamiętny listopad 1918 r. Placówka otrzymała poważne zadanie — rozbrojenia kompanii wojska austriackiego, stacjonującego w okolicach Dratowa i Nadryla. Po zajęciu pozycji około godz. 3 rano na rozmowy z dowódcą udali się parlamentariusze: Władysław Krzywicki i Julian Kowalski. Dowódcą kompanii okazał się szczęśliwie Polak z Krakowa. Po zapoznaniu się z dokumentem, którym był zapewne manifest dwóch cesarzy, mówiącym o utworzeniu Królestwa Polskiego — zarządził zbiórki, krótko przemówił do żołnierzy i nakazał pozostawienie broni ustawionej w kozły. Tak więc w sposób bezkrwawy udało się rozbroić dużą jednostkę okupanta.

Rozbrajanie Austriaków miało też miejsce na stacji kolejowej w Jaszczowie. Kilkunastoosobowe grupki peowiaków przez kilka dni zatrzymywały pociągi wracające z frontu wschodniego. Z wagonów wyrzucano broń i skrzynki z amunicją. Zdobyć kierowano następnie do Lublina. Udała się tam nawet na furmankach prawie cała placówka POW, aby pomóc w akcji rozbrajania zaborców i ustanowieniu Tymczasowego Rządu Ludowego. Ponieważ w Lublinie panował spokój, wszyscy powrócili jeszcze tego samego dnia. Później około 50 członków jaszczowskiej placówki POW wstąpiło na ochotnika do lubelskiego 23 pułku piechoty, stanowiącego już jednostkę odrodzonego Wojska Polskiego.

Dla uczczenia tak doniosłego wydarzenia, jakim było odzyskanie niepodległości, społeczeństwo Milejowa usypało w 1919 r. naprzeciw cukrowni — na wzór kopca Kościuszki w Krakowie — także nieduży kopiec ziemny, zwieńczony dębowym krzyżem. Dzisiaj opiekuje się nim p. Zofia Słomka. Wypada mieć nadzieję, że władze polityczne osady, w związku ze zbliżającą się 70 rocznicą Niepodległości Polski, uznają kopiec za miejsce pamięci narodowej i ustawią przy nim tablicę pamiątkową. Z pewnością ówczesne pokolenie na to zasłużyło.

Kazimierz Woś



Peowiacy na stacji kolejowej w Jaszczowie

Edmund Pietryk

Skoro życia skoro śmierci

Skoro wiosną moja kresowa matka wydawała mi się wieczna a ojciec ciepły i codzienny w tym naszym życiu od którego cierpły zęby a niebo nad nami było tak ziemiste jakby kłuty się w nim węzłowe jaja Skoro lata budziły się nasze psie instynkty przynależenia do kogoś a ból miał lepki smak olchowych liści w naszych polatanych sercach i w białych baśniach bzu i akacji gdy już zaczynają śpiewać zakłębionymi dziurkami wyciągniętymi z nieba i wypłutymi z czyszcza wygnanych z piekła wysmianych z nieba i wypłutych z czyszcza wtedy trzech braci ojca przychodziło do mnie i jak trzej królowie mówili mi — zostań jeszcze po stronie życia jak najdłużej A skoro zimny chleb płacze gdy go darmo jedzą — mówił ojciec — albo też chleb cudzym nożem krajany niesmaczny — powtarzał twardo i ta twardość też była naszą wiecznością i gdy siostra jak pierwszy cierniowy wiersz krzyknęła i przeszła na tamtą stronę i skoro śmierci są nasze nieba zapomnienia i skoro życia nasze wędrownie głogi zwracają śmierci swoją ciemną mitość

List od brata matki z Kanady

I wtedy wśród tej kurzawy powiedziałem sobie — niech nieporządkiem będzie życie innych Moje życie musi być czyste jak kanadyjskie szpitale w których dostępuję się emerytury A przedtem gdy wyrąbywałem lasy na kanadyjskiej północy myślałem — to jest styczeń albo luty w naszej leśniczówce na Polesiu i było mi źle a jeszcze przedtem gdy szedłem z generałem Maczkiem to nawet w północnej Afryce nigdy nie uważałem że mam burzliwe życie Dlatego tutaj zbudowałem sobie dom z drzewa bo przypomniała mi to chaty w Orańczycach i na obrzeżach Baranowicz a trawa przed moim domem wygląda jak marcowo azymina na polach pod Prużanami albo Kobryniem Bo nasz półprawosławny Bóg mówi że życie zdarza się nie raz ale dwa trzy a nawet cztery razy Nasza matka paliła dużo machorki a ja nie lubię tytoniu W ogóle nie lubię ludzi zatrutych Dlatego nigdy nie lubiłem twojego męża i nie dziwię się że z takiego mężczyzny i twój syn miał burzliwe życie Ale takie są wilcze ślepie przeznaczenia Dlatego wiem co trzeba robić żeby to człowiek przejechał się po swoim życiu a nie życie po nim i dlatego też jedząc tutejsze hamburgery wspominam smak słoniny z cebulą o wieczornej porze w lasach pińskich i dlatego w tym bogatym kraju przynajmniej nie przejadłem się życiem amen amen amen

Do domu!

że z niezłym takim nie zetknęli się dotąd w kraju, który staje c/o przed dramatyczną koniecznością oszczędzania wszelkich form energii.

Energetyczny drobiazg stanowił też o atrakcyjności projektu domu indywidualnego WB 3319, opracowanego przez krakowskie biuro budownictwa miejskiego „Agrobisp”. Zastosowano w nim różne rodzaje ogrzewania: konwencjonalne i za pomocą kolektorów słonecznych, podobno efektywnych i w naszym klimacie. Elementem tego właśnie systemu była całkowicie przeszkłona, rozległa i ukośnie położona elewacja południowa budynku, za którą barwiła się oranżeria — a wszystko to możliwe do wystawienia za jedyne „jeszcze nie wiadomo”.

Projekt ten pokazano bowiem na wabia, tylko w celach informacyjnych, bo coś tam w nim jeszcze wymaga sprawdzenia. Dostępne były dwie inne jego wersje, pozbawione kolektorów, ale też niesztampowe. W ogóle katalogi „Agrobispu” szły jak woda.

Nowe technologie i techniki oglądano z przejęciem, wręcz obawiano, nie szczędząc rzecz jasna uwag. Oto cztery charakterystyczne komentarze do „isothermu”:

— Czego ludzie nie wymyślą!

— To wynalazł Polak, mieszkający w RFN.

— Opóźnieni jesteście o sto lat.

— To u nas nie przejdzie, zaraz ktoś tam przetrąci sprawę u nasady!

Kolejnym stoiskiem, mocno atakowanym przez zwiedzających, był taki sobie boksik, firmowany przez Zakłady Wyrobów Sanitarnych „Krasnostaw”. Znajdowały się tam przedmioty pospolite, wręcz trywialne, jak kolorowe muszle klozetowe i umywalki na słupkach. Niby nic, ale co tam się działo! Metaforycznie mówiąc, publiczność domagała się „krwi” za wszelką cenę, proponując zbrodniczo przedstawieliowi fabryki i 10 tysięcy za coś, co w handlu można kupić o połowę taniej. Ba, gdyby można było nabyć sedes w sklepie!

„Krasnostaw” zatrudnia 900 pracowników, którzy mieszają glinę sprwadzaną z odległych regionów kraju, a co z tego wyłoni się, zanurzane jest w barwnikach importowanych np. z Anglii. Wielki mamy zatem popyt na umywalki, sedesy i tym podobne cuda krasnostawskiego ludu, który przecież nie taki, by wszystko wypchać poza granice miasta i państwa. Otóż przy fabryce czynny jest sklep firmowy, zapatrywany raz dziennie towarem o takim wolumenie, jak może unieść przyczepa ciągnika. Czasami są to rzeczy wyłącznie w kolorze brązowym, czasami w innym, ale są. Wystarczy więc stanąć w kolejce przed sklepem, nie później jednak niż o godzinie 4 nad ranem, by po 300—500 minutach wejść w posiadanie efektownej muszli klozetowej, którą w przyszłości można będzie umieścić w domu ze styroporu, ogrzewanym słonecznym kolektorem.

Do tego sklepu ciągnie obywatelstwo z bliższych i dalszych okolic, także z Lublina, nawet z Warszawy. Wyroby „Krasnostawu” są prawie niedostępne na rynku krajowym, bo znikają zeń zaraz po lokacji, zresztą ich większość natychmiast wchłania budownictwo uspołecznione. Powstaje zatem pytanie, po co zakłady prezentowały się na targach?

Znacznie spokojniej było w stoisku Lubelskich Zakładów Naprawy Samochodów, które przecież nie mogły narzekać na brak zainteresowania ze strony publiczności. Jak wiadomo, przedsiębiorstwo zyskało niejaki rozgłos za sprawą kontenerowych segmentów, wykonanych z blaszanych płaszczyzn wypełnionych pianką poliuretanową, diabło zresztą twardą i spełniającą kryteria niekolepskiej izolacji termicznej oraz akustycznej — niezłym mur z cegły o grubości 35 cm. Z takich kontenerów można montować przeróżne obiekty, w tym mieszkalne, wyposażone w instalację elektryczną i sanitarną. Swego czasu 40 pracowników LENS wystawiło w Grecji 200 takich parterowych domków, poświęcając robotnie ledwie półtora miesiąca.

Na targach oferowano katalog zestawów kontenerowych jako tymczasowych obiektów zaplecza placów budowy, kawałki płyt warstwowych (można było pomacać masę z poliuretanu) oraz barwne fotografie sezonowych obiektów mieszkalnych, nawet piętrowych, upozowanych na dach. A ludzie, jak zwykle, pytali: po ile штука? Okazało się, że jeden kontener „puoty” kosztuje (obecnie!) 750 tys.

zi, a z instalacją — 900 tys. A czy w takim ładnym, letniskowym kontenerku da się na stałe zamieszkać na pięterku? Nie — odpowiadano zgodnie z prawdą.

Wiele osób przebiegało hale w al. Zygmuntowskich z okiem wbitym w ziemię, bo zwykle tam właśnie, na podłodze, spoczywały materiały budowlane, czyli coś, czego nieustannie brakuje: albo w całym kraju, albo w naszym regionie. A jak wiadomo, brakuje głupiego eternitu, blachy, dachówek, izolacji, odczuwa się niedostatek belitu. Tymczasem na parterze, owszem, były rzeczy wabiące, niejednokrotnie nowe i ekonomiczne w zastosowaniu: stropy warszawskiego przedsiębiorstwa polonijnego „Teriva”, zbliżone do nich jakościowo stropy i inne wyroby firmy inż. Marka T. Swiderczuka z Rejowca Fabrycznego (tel. 90), pustaki wiórcementowe, dachówki i gąsiorzy z przedsiębiorstwa zagranicznego „Skandia” w Szczecinie (produkowane w oparciu o szwedzką technologię i także z urzędzenia), gipsy spółki lubelskiej „Rolmex”, pustaki „Mursa”. Stała tam również maszynka do wytwarzania

pianki krylaminojowej, jedna z 300 pracujących w kraju...

Telewizja lubelska uhonorowała targi bardzo niskim ukłonem przed ministrem budownictwa, a centralna znalazła w nich wiarygodną obietnicę lepszych czasów dla indywidualnych inwestorów, marzących o własnych domkach.

Moje spojrzenie nie było tak czule i głębokie, w zasadzie zatrzymywało się na tych obiektach i sprawach, które budziły żywszą reakcję publiczności. No i w zgodzie z wynikami owej chałupniczej sondy socjologicznej odmielałam się powiedzieć, że targi były pożyteczne, albowiem uświadomiły ludziom możliwość budowania wedle wzorów lepszych od tego, jaki z ostentacyjną bezczelnością manifestują np. „domki jednorodzinne” przy trasie W-Z — koszmar estetyczny i smutek etyczny Lublina.

Prawda, oferta targowa była wielce różnicowana, jej faktycznie racjonalny i nowatorski (na naszym gruncie) strumyczek ledwie przebiegał się przez standardy „myśli technicznej”, informując przecież, że można budować oszczędnie i ładnie. A takiej wiedzy

nigdy za dużo — właśnie w Polsce wschodniej, gdzie ciągle dominuje upodobanie do wznoszenia domów o walorach fortecy.

Inna sprawa, że tej informacyjnej i perswazyjnej funkcji targów nie udało się wykorzystać w pełni, zgodnie z zamysłem organizatorów. Kto bowiem uczestniczył w imprezie? Przede wszystkim przedsiębiorstwa i instytucje lubelskie, następnie — warszawskie. Pojedyncze firmy pochodziły z Białegostoku, Szczecina, Środy Wielkopolskiej, Lubieńca (woj. śląskie) i Krakowa. Jeśli zaś chodzi o pozalubelskie obszary regionu wschodniego, to tylko Chełmskie potraktowało rzecz poważnie, kierując nad Bystrycę przedstawicielstwa trzech przedsiębiorstw. Z Białej Podlaskiej (właściwie z Rokitna) przyjechał jeden wystawca, a z Zamojszczyzny — żaden! Wspomnijmy, że zaproszenia do udziału w targach skierowano do wymienionych województw już w marcu...

Dawno temu stołeczna prokuratura podjęła śledztwo na okoliczność zniknięcia styropianu, którym otulono pokazny odcinek rur ciepłowniczych. Wiadomo, cudów nie ma, są natomiast złodzieje mienia państwowego. W końcu sprawę przyłapano, odstępując jednak natychmiast od sprawy, albowiem trudno jakoś i niezręcznie było postawić przed sądem procesy — chemiczne, które spowodowały utlenienie się styropianu.

Przypuszczać można, że w niektórych wschodnich rejonach kraju obywatel Styropian i dziś jeszcze nie uniknąłby przykładowej kary, obejmującej m.in. podanie nazwiska drznia do publicznej wiadomości.

Koszmar estetyczny i smutek etyczny Lublina





Rys. Tomasz Wilczkiewicz

Minęły dwa lata, odkąd na łamach „Kamień” zaczęły pojawiać się „Strony”, nieregularnie wprowadzić, ale wytrwale. Wydawać by się mogło, rocznica nie warta nawet wzmianki. Dla nas jednak i dla młodoliterackiego środowiska Lublina to pewien etap, miejmy nadzieję — nie zamknięty. Pragniemy (to wcale nie pusta retoryka) dalszych dwu lat działalności i wierzymy, że nie jesteśmy i nie będziemy w tym życzeniu odosobnieni. Składamy serdeczne podziękowania tym, którzy z nami współpracują, tym, którzy z nami korespondują, i tym, których życzliwość sprzyjała nam dotychczas. Młoda lubelska poezja, ciągle jest żywa.

Jeśli już o jubileuszach, pragniemy przekazać gorące pozdrowienia wraz z gratulacjami dla redakcji „Okolic”, która obchodziła niedawno piątą rocznicę ukazania się pierwszego numeru tego miesięcznika. Życzymy dalszej owocnej pracy oraz wytrwałości w prezentowaniu młodych twórców, którzy już coraz mniej mają „własnych” pism. To nie przeszkadza nam w skierowaniu do druku bardzo zjadliwego pamfletu na esej Zaniewskiego, opublikowany w „Okolicach”.

Redaktorzy „Stron”

TRWA żalony i zenujący monodram Andrzeja Zaniewskiego na krajowej scenie literackiej. Najnowszym produktem niezmordowanego pisarza, który dane mi było poznać, jest pomieszczony w ostatnim (9/87) numerze „Okolic” esej pt. „Lęk czasu”. Zaniewski, członek rady programowej tego miesięcznika, już na wstępie informuje, że będzie to tekst wielkiej wagi: „Nie chcę tu oceniać dzisiaj naszej krytyki, chociaż nie jest wykluczone, że w przyszłości podejmę ten temat, uderzając w ufnych i zadufanych luminarzy, drażniąc ich i prowokując, bez nadziei jednak, by zmienili swoje nawyki i metody. [...] Pragnę zastanowić się nad przyczynami poezji — nie nad źródłami inspiracji, lecz nad przyczynami tworzenia, uważam bowiem, że są to hipotezy o wielkim znaczeniu, również dla przyszłości literatury”. Po tej pełnej skromności i wdzięku inwokacji autor wyluszcza swoje hipotezy. Luminarze drżą, a guru naucza. Zaczyna od nieśmiałej wzmianki o tym, że był kiedyś kierownikiem działu poezji w „Poezji”, potem wspomina swych zmarłych Przyjaciół: Staszka Grochowiaka i Mateusza Święcickiego („wybitny kompozytor i muzykolog, mistrz gry na trąbce”), cytuje Norwida i Eliota, wreszcie uznawszy, iż stoi już na dostatecznie wysokim koturnie, przystępuje do właściwego wykładu.

Koń by się uśmieiał Woody Allen rozplakał

Jacek Podsiadło

pytań, wśród których jedno może nawet budzić pewną nadzieję: „Czemu pisać, czemu po prostu muszę pisać?”.

Niestety, nadzieje są płonne. Poeta nie okazuje się na tyle solidnym analitykiem, by odpowiedzieć: „Ponieważ po prostu jestem grafomanem”, zamiast tego wyjaśnia, że „przyczyną jest nadwrażliwość, niemal patologiczne uczucie na rzeczywistość...”. W swej dociekliwości pyta zaraz o przyczynę przyczyny: „Ważna jest przyczyna tego wyjątkowego uwrażliwienia. A przyczyną tą jest świadomość czasu, przemijania, przeobrażenia, odchodzenia, śmierci i narodzin. Życie rozgrywa się w czasie jak sztuka w teatrze...”. I tak dalej, nie chcąc przeciągać niniejszego paszkwilu nadmiarem cytatów, zawierających sformułowania równie infantylne i wtórne, jak powyższe porównanie życia do teatru.

Wbrew wyartykułowanym we wstępie zamierzeniom, autor nie potrafi wiarygodnie określić implikujących akt twórcy uwarunkowań, dociera jedynie do źródeł inspiracji, od czego się odżegnywał. Uplywający czas, nieuchronność śmierci i związane z tym jednostkowe doświadczenia egzystencjalne często są natchnieniem poety. Rzadziej zaś fundamentalną i jedyną motywacją twórczości — i chyba tylko u poetów bardziej przywiązanych do swego małego życia i jego choćby wielkich problemów, niż do możliwości „uwalniania się” od życia, przekraczania go, możliwości stwarzanych między innymi przez sztukę.

Jednym z błędów, których można dopatrzeć się w eseju, jest prosty błąd kwantyfikacyjny, polegający na traktowaniu kwantyfikacji szczegółowego jako kwantyfikacji ogólnego. Zaniewski mówi, dlaczego pisze, a sądzi że mówi, dlaczego się pisze, podczas gdy generalizować wypowiedzi pierwszego rodzaju nie można.

„Lęk czasu” to typowy przykład pisarni będącej nieświadomą próbą autoterapii. Niczym więcej, mimo naturalnych żądzeń autora, iż robi coś poza tym, że uważa się nad sobą i zdradza z własnymi obsesjami.

Zatrzymajmy się nad tymi obsesjami. Pierwsza ujawnia się w natrętnie popracowanym problemie nadwrażliwości, we wspomnianiu odeszłych poetów, w samouwielbieniu, którego Zaniewski nie ukrywa albo ukrywa tak niezdarnie, że nawet się tych maskujących manewrów nie zauważa. A wszystko to pełne patosu i powodującego nudności sentymentalizmu. Nietrudno wyczytać między wierszami, jak bardzo pragnąłby zostać uznanym za poetę przekłętą, jak mu takiej nobilitacji potrzeba. Tymczasem wcale przecież nie potrzebuje o to zabiegać, został wielokrotnie przeklęty od czasu, gdy Barańczak poświęcił mu

trochę uwagi w swoich „Książkach najgorszych”.

Druga rzucająca się w oczy obsesja to nieskoordynowane i akrobatyczne podrygi intelektu autora, mające cudem reanimować młot pisarza w służbie państwa, polityki i ideologii. Były sekretarz Naczelnej Redakcji Rozrywki TV, dwukrotny laureat pierwszej nagrody w konkursach poetyckich Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego i autor książek wydanych przez MON, dobrze poznał tajniki pisania na zamówienie. Twierdzi, iż nie wstydzę się tego, zaś dwa obszerne fragmenty, poświęcone obronie pisarstwa służącego „wyższemu celom”, miały chyba w jego zamierzeniu sprawić wrażenie wtrąconych w sposób naturalny w tekst zajmujący się relacjami między poezją a czasem.

Sądzi przy tym, że jest przewrotny, kiedy zastrzega się, że to nie krytyka literatury służącej politykom — a jest tylko bezczelny i biedny. Przypomina się przy tej okazji scenka z filmu Woody Allena, w którym Allen gra rolę głośnego bandyty i wielokrotnego mordercy. Rodzice bohatera, opowiadając o swym synu reporterom telewizji, wstydliwie zakryli twarze maskami, a Matka rozpoczęła słowami: „Woody od dzieciństwa był grzecznym i dobrze ułożonym chłopcem”, na co Ojciec spytał: „Wobec tego po co te maski?”. Zaniewski w podobny sposób przeprowadza swoją mistyfikację. Przekonuje, że ucieczka od twórczości usługowej, służnie uchodzącej za twórczość niższego rzędu, jest dowodem słabości i niechęci do zmniejszenia swych sił z siłą czasu. W pewnych kręgach nazywa się to prościej i dosadniej niechęcią do „dawania d...”.

Niektóre ustępy eseju zajmujące się tą kwestią wymagają uzupełnienia, więc przytoczę jeszcze taki na przykład fragment: „...służąc określonej ideologii, poeta pozostaje sobą, bo przecież ograniczenia, które przyjmuje, narzuca sam sobie i w każdej chwili może odejść od ideologicznej dyscypliny, jak wielu przed nim i po nim. Jest to prawo, którego nikt nigdy odebrać poecie nie może i jedyny w zasadzie przywilej, z którego niekiedy korzystamy”.

Nieśmiało zwracam uwagę, że poeta przyjmujący ograniczenia to poeta ograniczony. Poza tym poeta Zaniewski przemilcza bądź nie zauważa faktu, że „wielu przed nim i po nim” odchodziło od ideologicznej dyscypliny akurat w chwili, kiedy zmieniała się lansowana ideologia, zaś owo prawo do swobodnego odejścia było często li tylko prawem do banicji. A przywilejów dalać się doszukać więcej, jednym z nich są pieniądze — i nie wiem, dlaczego nie miałbym o tym powiedzieć.

Proszę więc, aby Andrzej Zaniewski nie nazywał tego, czego broni w omawianym tekście skrajnym indywidualizmem. I jeśli czytam w innym miejscu, że pisanie na zamówienie wymaga wielkiej odwagi, bo jest czymś podobnym do „prowadzenia ciężarówki „po autostradzie” podczas trzęsienia ziemi, to zwracam uwagę, że mimo wszystko niektórzy niechętni wolą iść pęchotą (jestem o tym przekonany, choć na trzęsieniach ziemi znam się tyle, co Zaniewski na indywidualizmie). To ludzie tego pokroju są skrajnymi indywidualistami i oni zostają często tzw. poetami przeklętymi.

Ostatnią dolegliwością autora „Lęku czasu”, nad którą chcę się zatrzymać, są urojenia wielkościowe. Być może w książkach — chyba już kilkunastu — jakie wydał do tej pory, znalazłoby się dwadzieścia dobrych, świadczących o talencie wierszy, z których można by zrobić solidny arkusz poetycki, choć obojętnie najchętniej widziałbym nazwisko poety na indeksie autorów zakazanych.

Nie ironizuję w tej chwili. Większość znanych mi wierszy Zaniewskiego meglaby z powodzeniem stantować w konkursach twórczości beznadziejnej. Miłośnikom kuriozów polecam szczególnie tekst zatytułowany „Herakles”, wydrukowany w tomie „Mity” (PIW 1978). Przeczytawszy coś takiego trudno uwierzyć, że to naprawdę ten sam człowiek był jednym z założycieli Orientacji Poetyckiej HYBRYDY, szefem poezji w „Poezji”, a teraz szefem Klubu Poetów przy warszawskim ZLP i dziekanem Warszawskiej Wszechnicy Literackiej.

Nie do końca znam mechanizmy funkcjonujące w naszym świecie literackim, ale niektóre z nich muszą być co najmniej dziwne. Bo jeśli Zaniewski jest specem od literatury, to dlaczego nie ma pojęcia o jakości własnych utworów? Kiedy — jak wspomina — wraz z delegacją Literatów Polskich spoglądał na Wilno ze Wzgórza Gedymina, rozczulała go świadomość, że może tak samo patrzył stąd Mickiewicz, tylko panorama miasta nieco zmieniła się od tamtych czasów i lasów wokół znacznie mniej. I poeta jakby nie ten — chciałoby się dodać, czego Zaniewski zdaje się nie zauważać.

Bo posłuchajmy: „Przekazę przyszłym czasom mój człowieczy testament lub po prostu notabiel z rozmyślań. Jeżeli nie dzieła zebrane, co przecież jest moim skrytym ukrywaniem celem...” Urojenia wielkościowe poety nie interesowałyby mnie, gdyby nie fakt, że biorąc pod uwagę piastowane przez niego stanowiska, można traktować serię te pogroźki.

Wprowadza pojęcie „labiryntu”, który tworzyć mają nieskończone obszary, przemierzane przez współczesnych poetów, bezmiar poetyckiego tworzywa, pozostający w zasięgu ręki twórcy, bezmiar postrzegany przez Zaniewskiego w dwóch wymiarach: historycznym i geograficznym, rozumiany jako możliwość „wobudnych wypadków do krajin najodleglejszych w czasie i przestrzeni — od wycieczek w prehistorię po wyprawy w przyszłość, od Pułtuską do „krańców kosmosu”. Pisze zatem autor eseju o przeskakiwaniu „z kontynentu na kontynent, ze stulecia w stulecie z łatwością i szybkością, nie przewidywaną jeszcze przed półwieczem”. Jest to oczywisty nonsens, pisarze już od stuleci odbywają wyimaginowane podróże do odległych geograficznie, historycznie i kulturowo rejonów. Niestety, nonsens i banal, to wszystko, co serwuje czytelnikowi Zaniewski.

W sumie trudno polemizować z jego hipotezami „o wielkim znaczeniu”, co najwyższej można je ośmieszyć, skoro sam autor od dwudziestu kilku lat nie potrafi zdać sobie sprawy z własnej śmiešności. „Udowodniłem tu [sic! — J. P.] istnienie labiryntu, przed którym człowiek stanął po raz pierwszy w swej historii” — pisze Zaniewski i pozostawia zawilgą problematykę labiryntu, by w dalszej części tekstu dokonywać innych ważkich odkryć. Autorytatywnym tonem oświadcza, że poezja wymaga analitycznego i świadomego podejścia, zaś kluczem do jej zrozumienia jest świadomość przemijania, ów tytułowy „lęk czasu”. Zadaje sobie także kilka

w moim małym domu zamieszkała niewiara
jak nierządnica zamieszkała w moim małym domu niewiara
bardzo zła kobieta z którą mamy jednego Pana
powiedziałem jej moje ciało męskości

jak i moje ciało zniewieścienia
wszystkie moje ciała
których jest co niemiara mają jednego Pana
więc po co do mnie przychodzisz wciąż naga

w niedzielne popołudnie pracowało tu trzech półnagich żołnierzy
Bóg w ich ciałach nie ukrywał swego roztargnienia i na nowo
tworzył kosmos początku i końca podczas gdy oni
oślepieni słońcem wypoczywali na wznak

Pan Bóg myszkował w ich ciałach zdziwiony swojskością potu
Pan Bóg myszkował w ich ciałach złakniony
wracał do swoich źródeł i stawał się
kroplą brudu bez której nie byłibyśmy sobą

przyjaciele nie umierają w ramionach obcej kobiety
którą widzieli raz w życiu powiadam ci chłopiec
któremu było na imię Leszek nie mógł odejść z kobietą
tylko dlatego że nigdy dotąd nie spotkał jej na swojej drodze

to prawda że wtedy kiedy umierał byłeś ze mną
a ja nie umiałem ci dać tego co on umierając
teraz jesteś zazdrosna o czyjeś ramiona w których umierał
kiedy byłem blisko ciebie tak blisko że to mogłaś być ty

znieświadcziliśmy miasta do których przyjeżdżaliśmy
w piątek po południu albo w sobotę rano
a zwłaszcza dworce na których spędzaliśmy resztę dni
ludzi z którymi nie zamieniliśmy słowa

na pustych zakazanych placach
choć to oni pieścili nasze ciała w swoich szeleszczących skórkach
choć to oni pochylali się nad nami w zmarszczkach
bez cienia intymności

niekiedy bardzo śmieszni a zawsze bardzo starzy
w szeleszczących skórkach którą zatykaliśmy sobie uszy
ażebym nie słyszeć ich dalekiego oddechu
i którą jak zielskiem przykrywaliśmy swoje oczy zielone

jak bielmem.

NA WZNIESIENIU

Ja w Korchowie,
Na wysokim wzniesieniu
smutek płynie od krzyży.

A obok
kalina
Jeszcze wtedy w słotny dzień
przyszła do mojej,
mojego ojca,
Schyliła się zasmucona jak Ukraina
nad omentarzem wojny.

DZIEWCZYŃKA Z NARĘCZAMI WIATRU

Dziewczynka z naręczami wiatru
Czekała przed zieloną ścianą wiosny,
A ja zapamiętała bieglem

za motylami wspomnień —
Od kwiatu do kwiatu
od tęsknoty do tęsknoty,
Bo przelatwały między dłońmi jak między latami,
Białe, w żółte kropki
pomarańczowe i czerwone,
A na moich dłoniach zostawała tylko nadzieja,
I zatrzymałem się nieoczekiwanie
przed ścianą wiosny:
„Dziewczyno z naręczami wiatru
nie rozwiwaj
moich motyli”.

PASTELE

...A czas wiosenny —
trwoga,
Biel przebieśnięgów
kry łamanie
A ja na usta twoje
włgotne
Upadne
niebieskim rozstaniem.

Wypelzły z nocy drogi,
Jak z ciemnej wody węże.
Jesień.
Chyli się furka w ogrodzeniu
Jak babcia kaszle
Zima.
...A ty mnie pozdrowisz
Wielkanocną galazką wierzby
Wiosno?!

JABŁKA

Ulicami
młodość
jabłka
W koszyku
niosłaś,
Z nimi
wspomnienie
wróciło
Ulicami
smutku
ide

Nie byłoby rozstań,
Gdyby nie było spotkań,
I niebo nie byłoby błękitne.
Jakby nie kolor oczu.

Nie byłoby nawet wiosny,
Gdyby nie dojrzewały jabłka.
I nie byłoby wspomnień
Jakby nie było miłości.

Tłumaczył: Tadeusz Karabowicz

Ideal, empiria
człowiek

„REWIZJE osobiste”, książkowy debiut Lu-
kaszki Manzarka, to próba nakreślenia poe-
tyckiego manifestu i może nie tyle rozpoznania,
co zademonstrowania twórczej tożsamości autora. Myślę, że tak trzeba przede wszystkim
na tomik ten patrzeć, jak się patrzy na pierwszy
krok twórcy — wówczas można z dużą pewnością
stwierdzić, że jest to próba znacząca.

Manzarek w swej poezji wyraża świadomość
wielkich możliwości słowa, a jednocześnie zdaje
sobie sprawę z tego, że często zbyt trudny do zer-
wania jest związek z utartym znaczeniem, z tego
wreszcie, że często znaczenie ogranicza słowo. Elio-
towsko-Miloszowska koncepcja maksymalizacji
znaczenia przy ograniczeniu ilości wypowiedzianych
słów jest tu jednak nieco zmodyfikowana, Manzarek
w dużej mierze korzysta z opisu, jego poezja
realizuje poetykę mówienia „nie wprost”; nie ma
dla niego zakazanych tematów, istnieją jednak z
całą pewnością zakazane słowa. W książce tej ideal
poezji funkcjonuje — z jednej strony — w kilka-
krotnych formułach *expressis verbis*, z drugiej zaś
— jako pewien obraz (wizja?), do którego dążeniem
jest twórczość poetycka.

kiedyś wierzyłem
że można rozmawiać w pełną uciążliwość
nie używając
słów
zupełnie niepotrzebnych

wierzyłem
że nigdy za to się nie płaci

myślałem że wiem
czym jest poezja
 („Rewizje osobiste” VII)

Manzarek dużą wagę przywiązuje w swej książce
do sugestywnej obrazowości, która jest w zasa-
dzie pewnym rdzajem wizyjności, a wszystko po-
to, aby nadać wierszom uniwersalność. Ambicje au-
tora „Rewizji osobistych” nie kończą się bowiem na
zapisywaniu ładnych słów. Jego poezja ma wyraż-

ne założenia poznawcze. Poznanie, określenie za-
kresu pewności i trwałości jest dla Manzarka ty-
lko etapem — niezbędnym do świadomego wyraża-
nia własnej wizji świata. Obejmuje zaś ona prze-
de wszystkim człowieka. Człowiek, zawiera w so-
bie całą rzeczywistość, świat istnieje co prawda nie-
zależnie od niego, jest nawet w mocy na człowieka
wpywać, ba, zagrażać mu, ale to, co warte pozna-
nia, to, co jest prawdą — to tylko człowiek:
*Mogę pisać do Człowieka i poza Człowieka
nie wyjdę (Ale to już jest wiele Wiele jak
na jedno życie Czasami zbyt wiele
 („Rewizje osobiste” I)*

Pisze więc Manzarek o ludzkiej kondycji — o
podstawowych uczuciach, słabościach, zagrożeniach,
o moralności — tak o ideale, jak i próbie jego ucie-
leśnienia. Jego poezja łączy w sobie bezpośredniość
wyznania osobistego, lirycznego dramatu jednostki
wrażliwej z wizjami symboliczno-metaforicznymi,
które rozszerzają się do perspektywy historiozo-
ficznej i etycznej.

Otwierający książkę poemat „Post Scriptum”, po-
przedzony jest znaczącym cytatem z Apokalipsy:
„I ujrzałem niebo równe i ziemię nową, bo pierw-
sze niebo i pierwsza ziemia przeminęły”. Losy ludz-
kie, rozrzucone w kosmosie historii, nakładają się
na siebie w splotach tych samych uczuć i namięt-
ności, przede wszystkim miłości, wyrażonej przez
wielokrotnie pojawiający się symbol rodzącej
dziewczyny. Istota historii człowieka zawiera się
w tym kontekście w cykliczności — sens zniszcze-
nia odnajduje się w planie odrodzenia. Dlatego
współczesność, która dla Manzarka ma wyraźnie
znamię schyłkowości, jest ostatecznie elementem
ładu. Pisze więc autor „Post Scriptum”, że:

nie ma
już świętych miejsc
i kościoły zięją pustką
i drogi prowadzą donikąd

Ale kończy swój poemat obrazem, który przywraca
całą wiarę w teologiczne uzasadnienie sensu świa-
ta:

I tylko
Gdzieś tam —
Pewien starszynek niezrozumiany gra na cytrze
„Kilka neurojonych rozmów o cywilizacji” przy-
nosi również optymistyczną wizję ludzkiego losu,
mimo dalece silniej pokazanych zagrożeń zewnętrz-
nych. Pytania i odpowiedzi o miłość i śmierć na-

bierają w tym poemacie znaczenia podstawowych
kategorii określających ludzką egzystencję —
ukazują zarazem swą relatywność. Manzarek kre-
uje obraz bardzo wzniosły, ale realny — obraz czło-
wieka wrażliwego i twórczego, któremu wrażliwość
i twórczość dają moc wyzwolenia ze świata, tylko
zewnętrznie pełnego zagrożeń.

„Rewizje osobiste” — najobszerniejsza część te-
go zbioru, są poematem o dokładnie przemyślanej
konstrukcji, Uniwersalna refleksja obejmuje głę-
boko liryczny dramat, w którym Manzarek kon-
frontuje ze sobą optymistyczną i pesymistyczną
wizję człowieka i jego miejsca w świecie. Wycho-
dząc od przekonań o wartości człowieczeństwa, po-
przez całkowitą utratę doń zaufania i świadomość
pustki, która staje się punktem kulminacyjnym te-
go dramatu dochodzi ostatecznie do optymistyczne-
go rozwiązania, w którym wszelki ludzki czyn —
również poezja — prowadzi do ocalenia wartości
człowieka.

Generalnie pierwsza książka Manzarka uczy
bogactwem obrazów, przywiązaniem do słowa, które
znaczy, rozległością filozoficzną i wreszcie głę-
boko humanistycznymi rozstrzygnięciami. Są to
wiersze czasem nie do końca precyzyjne i zarab-
ne, ale debiutantom można to przecież wybaczyć.

Adam Kalbarczyk

Lukasz Manzarek, Rewizje osobiste, Wydawnictwo Lu-
belskie, Lublin 1997.

Redagują: Bogumiła Sobótka, Marek Da-
nielkiewicz, Adam Kalbarczyk, Tadeusz
Karabowicz.

Współpracują: Magdalena Jankowska, Ur-
szula Jaros, Zenon Cieślak, Artur Przy-
stupa.

Adres dla korespondencji: 20-010 Lublin,
ul. Graniczna 9; tel. 234-49.

Dobrze, że była

TRZECIEJ Lubelskiej Wiosny Teatralnej przyglądali się i sprawozdania z poszczególnych przedstawień na bieżąco składali recenzenci „Sztandaru” i „Kurier”. Toteż nie będą czynić tego raz jeszcze, w nadziei, że zarówno same spektakle, jak i omówienia, są świeże w pamięci miłośników tej sztuki. Czas natomiast na kilka refleksji nieco ogólniejszych.

Dla uspokojenia obaw o prowincjonalny charakter „Wiosny” przypominam obecność rewelacji ostatnich dwu sezonów teatralnych — „Sztukmistrza z Lublina”, przywiezionego przez wrocławski Teatr Współczesny. O inscenizacji Jana Szurmieja mówiło się i pisało ostatnimi czasy tak wiele, i to w najpochlebniejszym tonie, że udział tego przedstawienia musi być zaliczony do czynników nobilitujących lubelskie przedsięwzięcie kulturalne.

Ma ten spektakl swoją klasę, choć po mojemu, zubaża treść literackiego pierwowzoru. Jakoś marginalnym problemem staje się tu spór Jaszy Mazura z Bogiem. Dopiero od śmierci Magdy i sceny wielkiego monologu bohatera — „Sztukmistrz” nabiera Singerowskiego klimatu i sceptyk w sposób prawdziwie przejmujący odnajduje w sobie pokorę, a z nią nową tożsamość. Wcześniej spektakl właściwie dzieli się na dwie równoległe części: widowisko rodzajowe, oparte na starannie odtworzonym i porywającym widza żydowskim obrządku religijnym, oraz sceny z przygód miłosnych żydowskiego Casanovy, splecione quasi-brechtowskim songiem do słów Agnieszki Osieckiej, co nada je przedstawieniu wymiar melodramatu.

Przyjechali — zobaczyliśmy i przy najmniej wiemy, że nie ma doskonałości absolutnej, tak w życiu, jak i na scenie.

Drugim „wielkoteatralnym” dowodem „Wiosny” było „Zagraj to jeszcze raz” Woody Allena. Rzeczył Adam Hanuszkiewicz w Centrum Sztuki Studio w Warszawie. Samo nazwisko reżysera obiecywało mnóstwo atrakcji, z szokami cywilizacyjno-technicznymi włącznie. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło, a liryczno-komediowa historia trójkąta małżeńskiego po prostu nas zachwycała. Doskonały tekst, bogaty warsztat reżyserski, znakomite aktorstwo Gabrieli Kownackiej i Wojciecha Maljkata, wspomagane przez zgrabne i dobrze śpiewające dziewczyny w atrakcyjnej scenografii — to tyle, ile potrzeba, by powstał wielce satysfakcjonujący widza produkt.

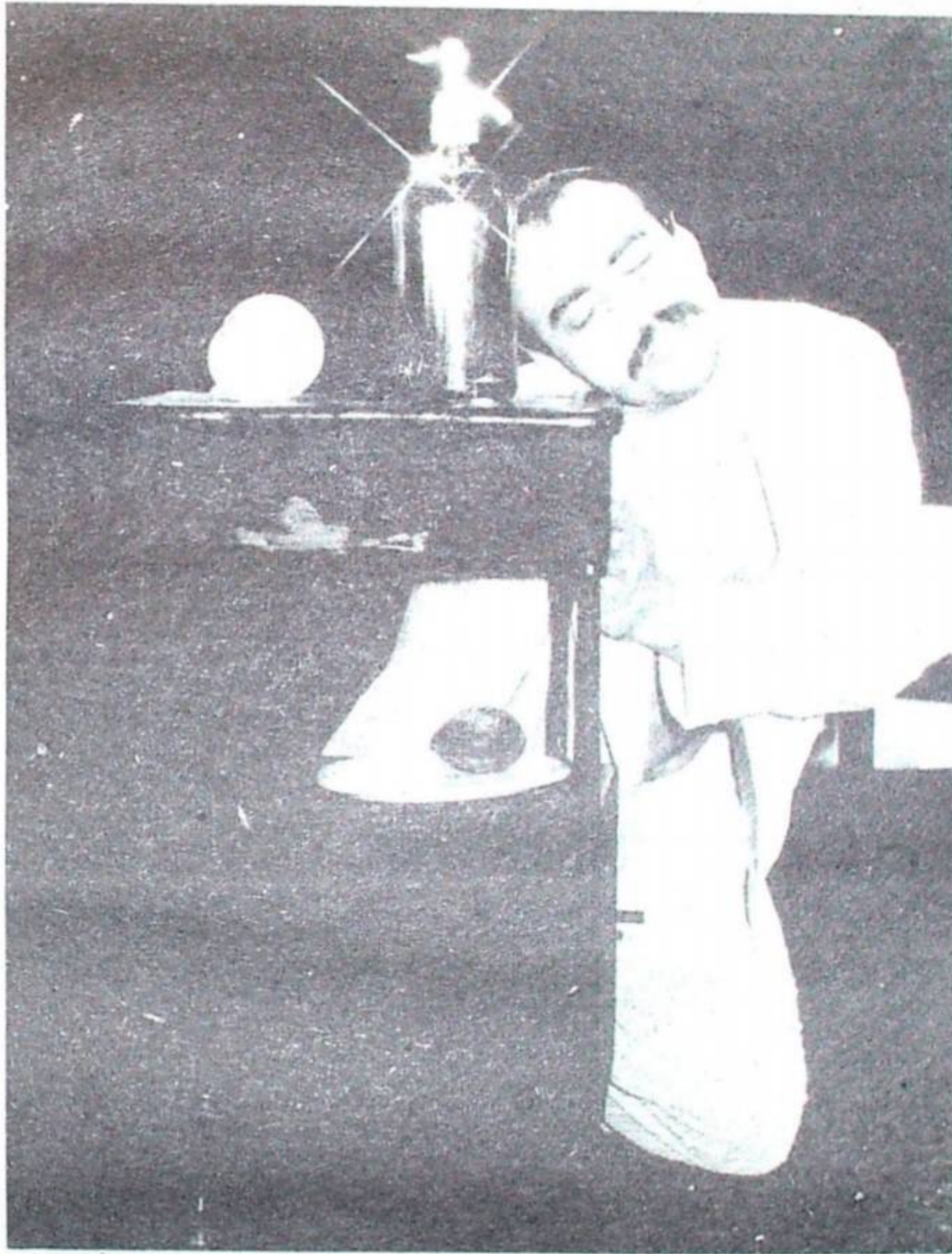
Wymieniając pozycje najgłośniejsze, nie sposób zapomnieć o „Kompleksie Portnoy'a”, przygotowanym przez aktora Teatru Studyjnego '83 w Łodzi. Wprawdzie to sama książka narobiła najwięcej hałasu, zwłaszcza wśród tych,

którzy widzieli w niej wyłącznie spróbną opowiastkę erotomaną. Na szczęście w monodramie Sławomira Olszewskiego bohater jest wielowymiarowym człowiekiem, przede wszystkim buntującym się przeciw wiedzom żydowskiej kultury (wyniesionej z domu rodzinnego) i wciąż przez nie zniewalanym, widzącym wszystkie stosunki między ludźmi jako relacje żydowsko-gojowskie.

Miała więc lubelska impreza, swoje, jakże mile dzisiaj widziane, akcenty żydowskie. I w tym nie znalazła się poza obowiązującym kanonem.

Jeżeli już o tendencjach i modach, to warto wspomnieć o dramaturgii radzieckiej, dziś dopiero odkrywanej o-

czom poskiego widza. Był więc „Mandat” Nikolaja Erdmana z którym dobrze wystąpili gospodarze, i „Szkariatna wyspa” Michaiła Bułhakowa, stanowiąca przedstawienie dyplomowe łódzkich studentów PWSFTiTv. Obydwa spektakle mówią w sposób prześmiewczy o mechanizmach zdobywania władzy i sposobach zabezpieczania własnych interesów. W przypadku Bułhakowa byłoby to do odczytania poprzez samo podanie tekstu sztuki, ale Maciej Prus (reżyser) nie zaufał inteligencji widza, toteż wykonawcy wciąż dawali nam znaki, że ich kierownik miał intencje sztukę uwspółcześnić, zwracając uwagę na paralelną pewnych sytuacji. Dopingowani ciągle do wylapywania



Sławomir Olszewski w „Kompleksie Portnoy'a”

Fot. Romuald Sakowicz

Magdalena Jankowska

alegorycznych sensów, łapaliśmy się na śmiechu z byle czego, byle symbolu naszej rzeczywistości, wplecionej w spektakl. Ponadto „Szkariatna wyspa” jest interesującą refleksją o teatrze jako sztuce umowności, a podopiecznych Macieja Prusa cechowała ogromna żarliwość wykonawcza.

Powiedziano się o jednej szkole aktorskiej, należy i o drugiej. Zespół PWST z Krakowa pokazał „Iwonę Księżniczkę Burgunda”, przygotowaną pod kierunkiem Jerzego Stuhra. Występ odznaczał się precyzją aktorskiego rzemiosła. Dramat Gombrowicza wymagał od aktorów skupienia, dobrej dykcji oraz wystudiowanych w najmniejszym detalu groteskowych gestów. I tak to zostało zagrane.

Do kategorii debiutanckich przedstawień można dorzucić lubelskie „Poobiednie igraszki”, wyreżyserowane przez Jacka Gierczaka, też pomyślane jako przedstawienie warsztatowe. Trudno po pierwszym przedstawieniu wystawić młodym aktorom właściwe cenzurki, ale można optymistycznie sądzić, że z wielu błądów w teatrze pociecha, a w różnorodności siła...

Było o stawiających pierwsze kroki, to teraz trzeba o znakomitościach naszej sceny. Jedną z nich — Romana Wilhelmiemu — widzieliśmy w „Emigrantach” Mroźka. Grał AA, a właściwie zgrzywał się, lecz nie przed swoim partnerem scenicznym XX (Damian Damiński), co uzasadniałoby treść sztuki, ale wprost przed publicznością. Widzieliśmy udawanie zamiast aktorstwa. Wilhelmiemu „wychodzą” wlecy prostacy (patrz Dyżma), w miniaturze zaś poczuł się nieswojo.

No, a bastion naszej dobrej tradycji teatralnej — Stary Teatr im. H. Modrzejewskiej z Krakowa? Dał sobą pokierować jakimś amatorowi zza oceanu i zmarnował siły na amerykańskie sztuczki Eda Graczyka, pełne dziwności transeksualnych i psychologicznych kiksów. Chyba na długi czas zarzucą w Krakowie takie kooperacje.

Ponieważ teatr współtworzy publiczność, o niej teraz słów kilka. Ogólnie rzecz biorąc, przybywała tłumnie, znakomicie orientując się w tym, co najlepsze. Wtedy nawet przejścia między rzędami były dobrym punktem obserwacyjnym. Niemile zaskoczenie stanowiła dla mnie widownia „Chatki Zaka”, czyli studencka, która do niedawna uważana była za najwrażliwszą. Tymczasem studenci burzyli rytm przedstawienia oklaskami w niefortunnym miejscu, na wszystko reagowali śmiechem jak na „Podwieczorku przy mikrofonie”.

Ponadto na pewno nasza publiczność ma kult obcokrajowca. Wystarczyło Węgrów z ich przestarzałym musicaliem, słabym wokalnictwem, chaotycznym w choreografii i nijakim w wykonaniu tańca, przedstawionym przez zespół w mocno sfatygowanych kostiumach, by zafundować im oklaski na stojąco. Czy nie za dużo kurtuazji?

Ciągle wyciągam na wierzch niedoskonałości przedstawień, jakbym chciała przegładowi odebrać wartość, ale to tylko tytuł okienka, któremu chcę być wierna, tak mnie dopinguje. Lubelska Wiosna Teatralna była w sumie udaną imprezą — już chociażby poprzez to, że w ogóle była.

»Dzieci Arbatu« we Wrocławiu

POLSKA prapremiera głośnej powieści Anatolija Rybakowa „Dzieci Arbatu”, jaka odbyła się 21 maja na scenie Teatru Polskiego we Wrocławiu, stała się sensacją obecnego sezonu teatralnego w tym mieście. Mimo że teatr ma 1212 miejsc, kolejkowe komitety po bilety ustawiły się już na wiele dni przed premierą. Wrocławską inscenizację, według adaptacji scenicznej Siergieja Kokowkina, w przekładzie Grażyny Miller-Zielińskiej i w reżyserii dyrektora tej sceny Jacka Bunscha, wyprzedziła wydanie książki w Polsce, przygotowane przez „Iskry”. W Związku Radzieckim książka ta czekała na ukazanie się ponad 20 lat a w tym czasie jej rozmiary stale się powiększały: „Dzieci Arbatu” mają obecnie 3 tomy, a Anatolij Rybakow pracuje nad 4 tomem epopei. Sceniczna adaptacja tej powieści powinna jed-

nak zadowolić miłośników teatru, bowiem została zaakceptowana przez pisarza.

„Powieść Anatolija Rybakowa — powiedział dziennikarzowi PAP reżyser Jacek Bunsch — to nie tylko symbol «piętności», ale również epicka powieść o losach ludzkich na tle historii, a co ciekawsze, na tle historii współczesnej. [...] «Dzieci Arbatu» są sagą o tyle nam bliższą, że dzieje przyjaźni Saszy Pankratowa budzą wiele skojarzeń z losami ludzi wchodzących w życie, znanymi z polskiej historii najnowszej. Czy teatr powinien podejmować aż tak aktualne problemy? Nie widzę nic dziwnego w tym, że po Witkacym i Gombrowiczu ma się ochotę sięgnąć po tekst bardzo współczesny. Teatr musi dotykać spraw «gorących», zbyt długo pouczano nas, o czym nie wolno mówić, i wmawiano, że podejmowanie takich tematów jest «nieartystyczne».

Adaptacja Siergieja Kokowkina w udany sposób przenosi na scenę najważniejsze wątki tej panoramy początku lat 30., rodzenia się terrorku i dramatu wplątywania losów ludzkich w tryby stalinizmu jako systemu niszczącego naturalną potrzebę prawdy, ożywiającej głównego bohatera.

Przygotowania do wystawienia „Dzieci Arbatu” odbyły się w rekordowym tempie, zaledwie w 6 tygodni. Aktorzy pracowali dosłownie w pocie czoła. Trzy ostatnie próby generalne trwały od wieczora do rana.

W głównej roli Saszy Pankratowa wystąpił Miłogost Reczek, Stalina — Igor Przegródkki, Jury Szaroka — Krzysztof Dracz, Maksima Kostina — Tadeusz Szymków, Budiagina — Zygmunt Bielawski, Leny Budiagina — Ewa Skibińska, Niny i Iwarii Iwanowych — Małgorzata Ostrowska i Małgorzata Niewiadomska.

Andrzej Szymura

Trockiego walka o władzę

Leszek Piątkowski

LEW Dawidowicz Trocki (właściwe nazwisko: Lejba Bronstein) urodził się w 1879 r. na Ukrainie w średnio zamożnej rodzinie żydowskiej. Wcześniej, gdyż już jako 19-letni młodzieniec, rozpoczął działalność w rosyjskim ruchu robotniczym. W 1898 r. został aresztowany i zesłany na Syberię. W trakcie ucieczki z zesłania wpisał do fałszywego paszportu nazwisko jednego ze swych więziennych strażników — Trockiego. Towarzystwo mu ono już do śmierci. Wkrótce postanowił opuścić Rosję i wyemigrował do Anglii. Tu spotkał się z Leninem i rozpoczął z nim współpracę w redakcji „Iskry”. Wziął też czynny udział w obradach II Zjazdu Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji (1903 r.). Początkowo zdecydowanie popierał stanowisko Lenina. Jednakże w końcowej fazie obrad pojawiły się już pierwsze rozdziewki między obu działaczami.

Kiedy po II Zjeździe ugruntował się w partii podział na bolszewików i mieniszewików, Trocki, nie opowiadając się zdecydowanie za żadną z tych frakcji, podjął próbę mediacji. Przywiązywał do tej misji dużą wagę. Uzasadniał ją koniecznością doprowadzenia do pojednania wśród „iskrowców”. W rzeczywistości dala tu już zapewne znać o sobie ambicja Trockiego. Być pośrednikiem między Jerzym Plechanowem a Leninem stwarzało szansę umocnienia własnej pozycji. Mógł stać się tym „trzecim”, od stanowiska którego wiele zależało. Niekoniecznie zresztą tylko „trzecim”. Pozycja Plechanowa była wówczas co prawda nie do podważenia, lecz Lenin dopiero ją sobie zdobywał. Trocki nie musiał więc posiadać wobec tego ostatecznego żadnych kompleksów. Tym zapewne można tłumaczyć zdecydowanie negatywne stanowisko Trockiego wobec pojednawczych w stosunku do niego gestów Lenina.

Taktyka ta okazała się jednak ryzykowna. Lenin bowiem od 1904 r. przestał oszczędzać Trockiego w swoich wystąpieniach. Chwiejna zaś postawa Trockiego dostarczała wciąż nowych argumentów dla tych ataków. Plechanow i Martow także nie przyjęli propozycji Trockiego pogodzenia się z Leninem. W ten sposób misja Trockiego zakończy-

ła się niepowodzeniem. Efektem było osłabienie jego pozycji w partii. Uratował go wybuch rewolucji 1905 r.

Trocki wyczuł instynktownie szansę. Podjął decyzję powrotu do Rosji. Rzucił się w wir wydarzeń rewolucyjnych. Wkrótce został przewodniczącym Petersburskiej Rady Delegatów Robotniczych, a więc praktycznie przywódcą mas stolicy. Był też inspiratorem oświadczenia, z jakim w grudniu 1905 r. Rada wystąpiła do rządów państw zachodnich kredytujących hojnie Rosję. Stwierdziła ono, że przyszła demokratyczna republika rosyjska nie będzie honorowała długów zaciągniętych przez cara. Akcja ta miała charakter spektakularny, odbiła się szerokim echem wśród społeczeństwa. Przyniosła też Trockiemu dalszy rozgłos. Wkrótce został co prawda aresztowany wraz z pozostałymi członkami Rady, lecz i wówczas potrafił umiejętnie wykorzystać proces sądowy dla uprawiania propagandy rewolucyjnej, a także autorklarny. Szczególnie, że prasa szeroko informowała o przebiegu procesu.

Skazany na zesłanie Trocki ponownie ucieka. Powraca też do starej taktyki kluczenia między bolszewikami a mieniszewikami. Ponownie nie przyniosła mu ona powodzenia. Nie zapobiegano przez mieniszewików, narażał się na ciągłą krytykę ze strony Lenina. Polemika z tym ostatnim przybierała ciągle na sile i ostrości. Lenin wykorzystywał bezlitośnie niekonsekwentność Trockiego. Zarzucał mu bezprogramowość oraz zmienność poglądów. „Trocki wyraża tylko swoje wewnętrzne wahania i nie więcej” — pisał w 1910 r. i dodawał: „Trocki popełnia plagiat — dzisiaj z bagażu ideowego jednej z frakcji, jutro innej — i na tej podstawie twierdzi, że stoi ponad obydwoma frakcjami” („Dzieła”, t. 16, s. 400). Innym razem zdenerwowany konkludował: „Z Trockim nie sposób polemizować co do istoty rzeczy, nie ma on bowiem żadnych poglądów” („Dzieła”, t. 17, s. 368).

Oceny te Lenin ilustrował ukazaniem wahań Trockiego, jakie przeżył on w latach 1903—1910.

„W 1903 r. — pisał — był on mieniszewikiem; w 1904 r. odszedł od mieniszewizmu; w 1905 r. wrócił do mieniszewików, szermując tylko ultrarewolucyjnym frazesem; w 1906 r. znów odszedł; w końcu 1906 r. bronił porozumień wyborczych z kadetami (tzn. faktycznie znów był z mieniszewikami), a na wiosnę 1907 r., na Zjeździe Londyńskim stwierdził, że różnica między nim a Różą Luksemburg jest raczej różnicą w indywidualnych odcieniach, niż w kierunkach politycznych”.

Swego zdania o Trockim Lenin nie zmienił do wybuchu I wojny światowej. Jeszcze bowiem w 1913 r. napisał: „Puste deklaracje, chętelne słowa, butne wypady przeciw nie wymienionym przeciwnikom, pompacyjne zapewnienia — oto cały bagaż Trockiego” („Dzieła”, t. 17, s. 366).

Na uwagę zasługuje też podjęta przez Trockiego w sierpniu 1912 r., nieudana próba utworzenia ze wszystkich secesyjnych grup oportunistycznych w SDPRR, własnej partii oraz przeciwstawienia jej bolszewikom. Idzie o tzw. „blok sierpniowy”. Jego żywot był jednak bardzo krótki. Nie zyskał on bowiem poparcia robotników rosyjskich.

Przesłanki pewnej poprawy stosunków między Trockim i Leninem pojawiły się z chwilą wybuchu wojny. Trocki, podobnie jak bolszewicy, popęłił wojnę. Podjął również krytykę tych socjalistów zachodnich, którzy udzielili poparcia swym rządów głosząc hasło obrony ojczyzny. I w tych punktach stanowiska Trockiego oraz Lenina były zbliżone. Polemika między nimi trwała jednak nadal, aczkolwiek nie była już tak ostro. Wynikała m. in. z faktu, iż Trocki przeciwstawiał się stanowisku, iż należy życzyć klęski rządowi rosyjskiemu w toczącej się wojnie. Nie zajął też zdecydowanego stanowiska w kwestii narodowej. Narażał się stąd na zarzuty Lenina, iż „przeciwny jest swobodzie odenwania się narodów” oraz, że „tylko w słowach jest za samookreśleniem narodów”. („Dzieła”, t. 21, s. 192, 409).

W 1916 r. Trocki został na żądanie ambasady rosyjskiej deportowany z Francji. Wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Na wieść o wybuchu rewolucji lutowej powrócił w maju 1917 r. do Rosji. Po zapoznaniu się z „teżami kwietniowymi” Lenina ogłosił, że już go nic nie dzieli od bolszewików. Mimo to, nie zdecydował się jeszcze na wstąpienie do ich partii. Został natomiast członkiem „międzydzielnicowej organizacji zjednoczonych socjaldemokratów” i dopiero wraz z nią w sierpniu 1917 r. wstąpił w szeregi partii bolszewickiej.

[Wcześniej, gdyż w czerwcu 1917 r., został wybrany członkiem Centralnego Komitetu Wykonawczego Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich.

Dokończenie ze str. 1

du społeczeństwo — państwo w całym bloku socjalistycznym. Oblicze socjalizmu zmienia się, a to ma już implikacje ogólnoświatowe. Nie umieszkałbym więc znaczenia ani Polski, ani innych krajów wschodniej Europy na światowej scenie politycznej. Co zaś do „Newsweeka” i „Time’a”, jeśli ich przedstawiciele nie chcą tu przebywać, to już ich strata.

— **Rozwój cywilizacyjny, a przede wszystkim technologiczny, pańskiego kraju wpędza Europę w kompleksy. Jest on wszakże, jak sądzę, wynikiem przyjęcia właściwych rozwiązań gospodarczych i konsekwentnej ich realizacji przez naród. Jak patrzy pan na ekonomiczne zmiany zaproponowane przez polski rząd? Co stanowi, pana zdaniem, warunek ich powodzenia?**

— Założenia tych reform są bardzo racjonalne i jak sądzę, słuszne. Polska nie ma innej drogi, jak tylko modyfikacja własnej gospodarki. A zatem, sprawa wydaje się prosta. W Japonii, na przykład, wszyscy zabraliby się teraz zgodnie za realizację naszych planów. Często powtarzam moim polskim przyjaciółom, że oni też powinni uczynić to samo. Czasami trudniej bowiem o uczciwy program niż o jego wdrożenie. Zwłaszcza, że jak dotąd, Polska nie posiadała właśnie takiej kompleksowej, spójnej i dalekosiężnej wizji. Teraz już ją ma i oto zaczynają się kłopoty.

Drugi etap reformy gospodarczej jest dopiero wcielany w życie od kilku miesięcy. Zbyt krótki to okres czasu, by żądać szybkich, widocznych efektów. Ale polskie społeczeństwo wykazuje ogromne zniecierpliwienie. Kraj ogarnia frustracja.

Uważam, że przyczyn takiego stanu rzeczy należy upatrywać w przeszłości. Wasz naród zbyt często był zwozdzony i oszukiwany. Jego skłonność do zaufania rządowi została więc poważnie ograniczona. Wielkie, autentyczne nadzieje, towarzyszące narodzinom „Solidarności”, zostały przekreślone. Stan wojenny, rozwiązując bieżące problemy polityczne kraju, nie przyniósł jednocześnie głębokich rozwiązań wszy-

stkich, nagromadzonych przez lata nieprawidłowości. Pozostało więc uczucie zawodu, naród znalazł się w stanie podziału. W tej sytuacji, wszelkie radykalne działania władzy rodzą natychmiastowy opór. Ostatnio okazało się, że był to opór w ograniczonym zakresie. Ale, kto wie, jak będzie w przyszłości?

Stąd najważniejszym czynnikiem, jaki może zagwarantować powodzenie polskich reform, jest prawdziwy narodowy consensus; współpraca wszystkich trzech decydujących sił politycznych kraju: rządu, Kościoła i opozycji. Jakie formy dialog taki mógłby przyjąć, nie wiem. Ale musi on być autentyczny. Czy się komuś podoba, czy nie — jest to jedyne racjonalne wyjście. Polityka bowiem jest, jak wiadomo, sztuką kompromisów. Tylko poparcie całego narodu może zapewnić temu rozsądnemu programowi reform ostateczny sukces. Rząd polski wydaje się być tego faktu świadomy.

— **Postęp technologiczny Japonii, oprócz podziwu, przywołuje także na myśl futurologiczne obrazy świata z gatunku science fiction. Czy ta robotyzacja i komputeryzacja nie grozi wszakże odhumanizowaniem społeczeństwa? Jak Japończycy bronią się przed takim potencjalnym zagrożeniem?**

— Nie sądzę, aby był to już problem na dziś. Wszystko zależy bowiem od tego, czy postęp technologiczny przeprowadzany jest w pewien harmonijny sposób; czy rozwijając przemysł, nie zaniedbujemy przy okazji odpowiedzialnych działań cywilizacyjnych, społecznych. Myślę, że równowaga między technicyzacją a troską o potrzeby ducha nie została w Japonii zachwiana. Ludzie wciąż znajdują czas i wolę, aby czytać książki, słuchać muzyki czy chodzić do teatru. Jak dotąd, technika tylko służy ludziom, lecz nimi nie rządzi. Jest to więc sprawa zachowania pewnej naturalnej równowagi.

Muszę wszakże przyznać, że coraz większa liczba Japończyków poszukuje odpoczynku i wytchnienia wysoko w gorach, na dalekich obrzeżach wielkich urbanistycznych aglomeracji, w bliskim kontakcie z naturą. Jest to odruch zdrowy i jest on także czę-

ścią odpowiedzi na pańskie pytanie o samoobronę. Wciąż posiadamy w Japonii sporo wolnej przestrzeni i jak sądzę, nie musimy się jeszcze obawiać wizji cybernetycznego świata. Nie demonizowałbym więc całego problemu.

— **Przybywając do Polski, znalazł się pan w zupełnie odmiennym klimacie społecznym i kulturowym. Czy podjąłby się pan próby scharakteryzowania tego klimatu? Co stanowi, pana zdaniem, najbardziej uderzający rys polskiej rzeczywistości?**

— Rok temu bułgarska telewizja zaproponowała mi wywiad. W trakcie rozmowy, nawiązując do faktu mojej stałej obecności w Warszawie, poproszono mnie, abym w trzech słowach scharakteryzował Polskę. Pytanie to było zaskakujące, a pierwsze trzy wyrazy, jakie przyszły mi wówczas do głowy, to: socjalizm, długie kolejki i kwiaty. Dwa pierwsze są zrozumiałe, ale ten trzeci? Polski zwyczaj dawania i otrzymywania kwiatów przy każdej okazji był dla mnie miłym zaskoczeniem. U nas, w Japonii, nie jest on praktykowany, choć nasza umiejętność tworzenia kwiatowych kompozycji zyskała światowe uznanie.

Najbardziej uderzającą wszakże cechą polskiej rzeczywistości, niestety negatywną, jest niekompetencja wazszych służb publicznych. Jest to coś, co irytuje i bulwersuje Japończyka. Jakże często, kontaktując się z jakąś instytucją, spotykam się ze stwierdzeniem: „Nie wiem”. „Nie wiem, czy są wolne miejsca w samolocie”. „Nie wiem, o której wróci szef”. „Nie wiem, kto się tym zajmuje”. W Japonii, jeśli urzędnik czegoś nie wie, stara się tę wiedzę osiągnąć bądź oferuje źródło, gdzie daną informację będzie można uzyskać. Tak na świecie załatwia się interesy. Odnoszę wrażenie, że w Polsce pracuje niewielu kompetentnych ludzi. Mówiliśmy o gospodarce reformie; jeśli ma się ona powieść, takie praktyki muszą zniknąć z publicznego życia.

— **A jak z perspektywy Japonii wyglądają sprawy Europy? Czy stanowi ona nadal ważną determinantę**

Potrzebna

większa

życzliwość

historii

kamena

12

Na VI Zjeździe SDPRR(b) w sierpniu wybrano go z kolei na członka KC. Wkrótce został też przewodniczącym Piotrogrodzkiej RDRiZ oraz wszedł w skład Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego przygotowującego powstanie zbrojne. Wszystko to świadczy o wzrastającej pozycji Trockiego w obiegu rewolucyjnym. W tym też okresie zetknął się bliżej ze Stalinem. O ich wzajemnych stosunkach w tym czasie trudno jest jednak coś bliżej powiedzieć. Informacje o nich pochodzą bowiem z okresu późniejszego, gdy drogi obu działaczy rozjeżdżą się zdecydowanie, a więc informacje te nie mogą być traktowane jako obiektywne świadectwo prawdy.

W dniach przewrotu październikowego Trocki odegrał bez wątpienia poważną rolę, aczkolwiek nie aż tak dużą, jak to sobie przypisywał w latach późniejszych. Świadectwem uznania pozycji Trockiego było powierzenie mu stanowiska ludowego komisarza spraw zagranicznych w pierwszym rządzie radzieckim. Nie piastował go jednak długo, gdyż do 13 III 1918 r. Utracił je w rezultacie stanowiska, jakie zajął w trakcie rokowań brzeskich. Zwolennik „eksportu rewolucji”, twórca tzw. teorii „permanentnej rewolucji”, był przeciwnikiem podpisania pokoju z państwami centralnymi. Uzasadniał to tym, że oznaczałoby to zdradę interesów rewolucji światowej. Bez jej zwycięstwa niemożliwy jest bowiem sukces rewolucji rosyjskiej. Jeżeli zrewoltowane ludy Europy nie zniszczą imperializmu — pisał — zostaniemy zmiażdżeni my — to nie ulega wątpliwości. Albo rewolucja rosyjska rozpęta burzę na Zachodzie, albo kapitaliści wszystkich krajów zduszą naszą rewolucję.

Dopóki więc można było, przeciągał rokowania brzeskie (za zgodą zresztą Lenina), gdy jednak delegacje państw centralnych postawiły ultimatum, Trocki, wbrew stanowisku Lenina, zerwał rozmowy. Oświadczył, że Rosja Radziecka nie podpisze układu opartego na tak ciężkich warunkach, lecz też wycofuje się z wojny, czego wyrazem będzie ogłoszenie demobilizacji armii. Krok Trockiego, jak wykazała najbliższa przyszłość, pociągnął za sobą poważne konsekwencje. Ofensywa wojsk niemieckich przyniosła okupację przez nie nowych terytoriów Rosji. Wykazała też słabość młodego państwa radzieckiego. W rezultacie rząd radziecki był zmuszony podpisać traktat pokojowy na jeszcze cięższych warunkach.

Trocki, jak się wydaje, do końca nie w pełni zrozumiał swój błąd, aczkolwiek fakt, iż ostatecznie nie głosował przeciwko podpisaniu układu, lecz wstrzymał się od głosu, może świadczyć o tym, że zaczął mieć pewne wątpliwości co do słuszności wcześniej zajmowanego stanowiska. Konsekwencją zaś tego była rezygnacja z funkcji komisarza ludowych spraw zagranicznych. Nie oznaczało to by-

najmniej poważniejszego osłabienia pozycji Trockiego. Jeszcze bowiem w tym samym roku został ludowym komisarzem spraw wojskowych i morskich oraz przewodniczącym Rewolucyjnej Rady Wojskowej RPSRR. W 1919 r. został zaś wybrany członkiem Biura Politycznego KC RKP(b). Pozostał więc nadal w ścisłym kierownictwie partyjno-rządowym. Nadal też aktywnie uczestniczył w życiu politycznym kraju.

W 1920 r. w Trockim odżyła na nowo nadzieja na wybuch rewolucji ogólnoeuropejskiej. Podstawy ku temu dawała ofensywa radziska na froncie polskim. W chwili gdy Armia Czerwona podchodziła do Warszawy, Trocki rzucił hasło: „Tylko jeszcze 16 wiorst i Europa... w ogień! Bohaterzy! — na Warszawę”. Nie tracił nadziei nawet po klęsce warszawskiej i w trakcie odwrotu Armii Czerwonej. I tak 26 IX 1920 r. w rozkazie do Czerwonej Armii stwierdził, że jeżeli Polska nie podpisze pokoju na proponowanych jej warunkach, to Armia Czerwona wywalczy sprawiedliwy pokój. Tego samego dnia na zebraniu działaczy zachodniego frontu w Mińsku rzucił demagogiczne hasło: „Dyplomacja do Rygi, Czerwona Armia na Warszawę”. Dlatego przeciwstawiał się rokowaniom polsko-radzieckim. Wbrew rzeczywistości, zapewniał o pełnej gotowości bojowej armii radzieckiej, która „może raz jeszcze Polsce zagrozić”.

W 1920 r. Trocki wziął również aktywny udział w toczącej się dyskusji na temat związków zawodowych. Wystąpił z koncepcją upaństwowienia związków zawodowych i militaryzacji procesów pracy produkcyjnej na zasadach dyscypliny wojskowej. Koncepcja ta była pochodną założenia, że „człowiek to leniwe zwierzę”. „Militaryzacja ta — twierdził — jest nie do pomyślenia bez zmilitaryzowanych związków zawodowych jako takich, bez ustanowienia reżimu, przy którym każdy robotnik czuć się będzie żołnierzem pracy nie mogącym sobą dowolnie dysponować [...] Bo jeżeli mówimy poważnie o gospodarce planowej, kierowanej centralnie, według jednolitej koncepcji, to masy robotnicze nie mogą być Rusią włóczęgów. Powinny być przerzucane, przydzielane i rozsyłane tak jak żołnierze. Oto podstawa militaryzacji pracy”.

Nie tylko o dyscyplinie mas chodziło Trockiemu. Na V Ogólnorosyjskiej Konferencji Związków Zawodowych (2-6 XI 1920 r.) domagał się także „przetrasania” w trybie administracyjnym kadr kierowniczych.

Platforma Trockiego została odrzucona przez X Zjazd Rosyjskiej Komunistycznej Partii(b) w marcu 1921 r. Zakazano mu również prowadzenia działalności frakcyjnej w partii. Trocki, przynajmniej oficjalnie, podporządkował się tym uchwałom. Nie na długo jednakże. Już bowiem w latach 1922-1923

można dostrzec usilne jego dążenie do odgrywania głównej roli w życiu partii. Był to bez wątpienia początek jego walki o spadek po Leninie. W tym bowiem czasie stan zdrowia przywódcy radzieckiego znacznie pogorszył się. 26 maja 1922 r. miał on wylew krwi do mózgu, rezultatem którego był częściowy paraliż ciała. Przez dwa miesiące nie mógł mówić i poruszać się. Po przejściowej poprawie, 16 grudnia nastąpił drugi atak choroby, który przykuł go ponownie do łóżka. Trzeci zaś atak w dniu 9 marca 1923 r. odebrał Leninowi ostatecznie mowę i bardzo ograniczył możliwości pisania.

Trocki rozumiał, że zbliża się kres życia przywódcy radzieckiego. Dlatego też postanowił zapewne przygotować sobie lepszą pozycję wyjściową w walce o władzę. To samo czynią zresztą inni — Stalin, Zinowiew czy Kamieniew. Trocki zainicjował pierwszy. Na XII Zjeździe RKP(b), w kwietniu 1923 r., dokonał krytyki aparatu partyjnego. Zażądał również zmiany uchwał X Zjazdu o zakazie działań grup i frakcji wewnątrz partii. Podobne stanowisko zajął w liście skierowanym 8 X 1923 r. do KC RKP(b). Twierdził w nim m.in., że biurokracizm aparatu partyjnego osiągnął niesłychane rozmiary, zaś reżim jest aktualnie większy niż w okresie komunizmu wojennego. Przedstawił też własną koncepcję polityczną, w której dominowała teza, że w słabo uprzemysłowionym kraju budowa socjalizmu jest niemożliwa. Idea budowy socjalizmu jest bowiem związana z rewolucją europejską i należy do niej dążyć. Tym bardziej, że zdaniem Trockiego, nadal istniały szanse na powodzenie rewolucji w Niemczech.

W ślad za listem Trockiego wpłynęło do KC partii tzw. „Oświadczenie 46”. Jego sygnatariusze, a znaleźli się wśród nich tacy działacze jak: Grigorij Piatakow, Władimir Antonow-Owsiejenko, Władysław Kosior czy Walerian Osiński, poparli w pełni stanowisko Trockiego.

Pierwsze starcie przyniosło jednak Trockiemu porażkę. Plenum KC RKP(b), obradujące w dniach 25-27 X 1923 r., potępiło Trockiego i jego zwolenników. Jednym z mówców, szczególnie ostro polemizującym z Trockim, był Stalin. W swoim wystąpieniu skupił się on przede wszystkim na obrońcy zasad demokracji wewnątrzpartyjnej. Opowiedział się również zdecydowanie za utrzymaniem jedności partii.

Trocki tym razem nie podporządkował się ani rezolucji przyjętej przez Plenum KC, ani też uchwałom Biura Politycznego z grudnia 1923 r. Jeszcze w tymże roku ukazała się jego broszura zatytułowana „Nowy kurs”, w której poddał ponownie krytyce kierownictwo partii, zarzucając mu hamowanie dyskusji ideologicznych i kierowanie się metodami biurokratycznymi.

(Dokończenie nastąpi)

międzynarodowych stosunków politycznych? Gdzie widzi pan szczególne zagrożenia w obecnym rozwoju naszej cywilizacji?

dwoma supermocarstwami. Sądzę, że jest to dla nas lakoma perspektywa. Przyszłość Starożytności, nawet jeśli nie byłaby to przyszłość bezpośrednia, widzę więc jako miejsce wolne od zagrożeń, efektywnie gospodarowane, pełniące rolę swoistego mediatora.

Jeśli zaś chodzi o globalne niebezpieczeństwa, to dostrzegam je przede wszystkim w upadku tradycyjnych norm wartości oraz zagrożeniu ekologicznym. Tempo skomercjalizowania współczesnego życia jest przerażające. Wielkie idee, które na początku stulecia popychały świat w nowy kierunek, utraciły swoją nośność. Wywołuje to określone stesy. Są to zwłaszcza procesy naturalne. Zagrożenia ekologiczne są zaś zbyt szeroko znane, aby je tutaj wymieniać. Zawsze jednak zachwianie równowagi w naturze prowadzi do kataklizmów. Szczególnym dowodem tej prawdy była choćby katastrofa w Czernobylu.

— Jak ocenia pan rangę naszego zawodu w kształtowaniu korzystnego bądź negatywnego obrazu współczesnych stosunków międzynarodowych?

— W Japonii uczy się dziennikarzy, że aby dokonać próby skomentowania jakiegos zjawiska, należy posiadać przynajmniej dwie sprzeczne na jego temat opinie. Chodzi więc o sprawę obiektywizmu w przekazywaniu informacji. Głównym wszakże zagrożeniem dla tej idei jest, moim zdaniem, ignorancja. Dostęp do dziennikarstwa jest stosunkowo otwarty; trafia więc do niego wielu przypadkowych ludzi. W tym właśnie tkwi istota problemu. Na szczęście zawód ten poddaje się także szybko społecznej weryfikacji. Współczesny odbiorca jest bombardowany taką ilością informacji z rozmaitych źródeł, że ustawnie wzrasta jego zdolność do eliminowania poglądów nieprawdziwych. Nasz odbiorca staje się po prostu coraz bardziej inteligentny. Jeśli gazeta traci wiarygodność, traci też czytelników. Jest to mechanizm wysoce pozytywny, zapewniający przy okazji naturalną selekcję w szeregach ludzi parających się dziennikarstwem.

— Nasze dwa narody dzielą odmienne doświadczenia historyczne, kulturo-

we, cywilizacyjne. A co nas łączy? Jak mógłby pan porównać dwa charaktery narodowe: polski i japoński? Czy Polacy mogą zbudować drugą Japonię?

— Znam, oczywiście, to głośne powiedzenie. Odkładając wszakże na bok jego metaforyczną wymowę, muszę stwierdzić, iż Polacy nie mogą zbudować drugiej Japonii, a co ważniejsze, nie powinni nawet tego próbować. Polacy muszą po prostu budować drugą Polskę. Komputery i roboty nie stanowią prawdziwego oblicza mojego kraju. Stanowi je japoński styl życia, którego nie można podrobić. Został on wypracowany przez stulecia, w ciągu szczególnych i indywidualnych procesów historycznych. Różnice między naszymi narodami są oczywiste i nie ma potrzeby ich wymieniać. Istnieją wszakże i podobieństwa. Przede wszystkim gościnność i serdeczność obu narodów. Odwiedzam czasami moich polskich przyjaciół i mimo tak ogromnego dystansu, jaki nas dzieli, czuję się u nich chwila jak we własnym domu. To wielka i inspirująca rzecz.

— Czy pana zdaniem, naród japoński rozliczył się już do końca z epoką militarystyczną i jak proces ten przebiegał?

— Po drugiej wojnie światowej dokonano w Japonii zmiany konstytucji. Usunięto z niej wszelkie elementy imperialne, a nowa ustawa zasadnicza jasno i na zawsze zabrania nam rozbudowy potencjału militarnego. Utrzymujemy jedynie ograniczoną liczbę oddziałów samoobrony. Wszystko wydaje się więc jasne. Ale rozwój stosunków międzynarodowych to proces dynamiczny. Nie żyjemy wszak na samotnej wyspie. Pewne stesy i napięcia pojawiają się bezustannie we współczesnym świecie. Gwałtowny rozwój naszego kraju wiąże się z rozbudową zwłaszcza przemysłu ciężkiego i nowych, skomplikowanych technologii. Rodzi to określone „ciągoty”.

Zdecydowana większość Japończyków przeciwstawia się takim tendencjom. Obecnie posiadamy militarny pakt ze Stanami Zjednoczonymi. Gdyby wskazywały USA wycofały swe jednostki z Azji, sami musielibyśmy podjąć zadanie obro-

ny naszego kraju. Taka ewentualność tkwi w umysłach Japończyków. Wierzyliśmy w pokojowy i harmonijny rozwój świata po okrutnych doświadczeniach ostatniej wojny. Ale ten świat jest wciąż niestabilny i pełen konfliktów. Dlatego proces globalnego rozbrojenia ma absolutnie kuczowe znaczenie dla wszystkich narodów ziemi. Tylko on może na zawsze usunąć z ludzkich umysłów militarystyczne zapędy.

— Jak ocenia pan cotygodniowe konferencje prasowe ministra Urbana?

— Bardzo wysoko oceniam poczucie humoru ministra i jego zdolność udzielania kompetentnych odpowiedzi. Mam nadzieję, że pozostanie on na swoim stanowisku tak długo, jak to tylko możliwe. Trudno bowiem znaleźć w Polsce inne, równie fachowe, dokładne i inspirujące źródło informacji. Oczywiście, pan Urban jest także w pewnym sensie politykiem. Broni on efektywnie racji swojego rządu. Jest jednak nade wszystko profesjonalistą.

— Czy mógłby pan na koniec powiedzieć nam coś więcej o sobie, o swoim życiu rodzinnym, zainteresowaniach i fascynacjach?

— Moja praca i mój pobyt w Polsce sprawiają mi wiele satysfakcji. Dotyczy to również mojej rodziny. Mój syn często powtarza, że kocha ten kraj i właśnie uczy się gwizdać polski hymn narodowy. Oczywiście, dotykają nas także niedostatki i trudności codziennego polskiego życia (na przykład nagły brak wody w kranach czy słabo zaopatrzone sklepy). Ogólnie jednak życie tutaj wydaje się nam fascynujące i ciekawe. Mam nadzieję, że będzie się ono stawało coraz bardziej znosne także dla samych Polaków. Jestem głęboko przekonany, że ten kraj zasługuje na większą życzliwość historii.

— Dziękuję panu bardzo za rozmowę.

Rozmawiał: Wiesław Horabik



Tetsuo Imaizumi

— Przeciętny Japończyk, myśląc o Europie, ma z reguły na uwadze co najwyżej jej zachodnią część. W pewnym sensie nasz kontynent, jako linia graniczna dzieląca dwa obozy, ma wiele znaczenia lub nie posiada go wcale. Stosunki Wschód-Zachód ocenia się z perspektywy globalnej, a ściślej na podstawie bezpośrednich kontaktów między USA i ZSRR. Wśród politycznych komentatorów panuje wszakże przekonanie, że wraz z postępującym procesem rozbrojenia Europa będzie rosła. Europa otrzyma większą szansę wykazania własnej politycznej inicjatywy. Nie będąc miejscem rozlokowania środków zagłady, będzie mogła służyć jako swoisty katalizator w rozładowaniu napięć Północ-Południe, a także łagodzić rozbieżności między

trójkąt zbrodni

Paweł Andrzejewski

- 2 -

PRZESŁUCHANY Krzysztof K. wyparł się udziału w zajściu, natomiast Jacek R. potwierdził słowa Andrzeja B. Jego zeznanie różniło się w szczegółach, ale podtrzymywał, jakoby to nie oni zaczęli, ale zostali zaczepieni przez dwóch pijanych i agresywnych mężczyzn. Ten prawie piętnastoletni uczeń szkoły podstawowej „urwał się” po dwóch lekcjach, ponieważ „nudziło mu się i nie mógł wytrzymać”. Czas pomiędzy godziną 10 a 20 spędził na ulicy i w mieszkaniu. Robił zakupy, trochę pomagał koleżce reperować motocykl, trochę grał w piłkę. Pod wieczór wrócił do domu, ale „nie mógł wysiedzieć” i znowu wyszedł. Koło kwiaciarni dołączył do grupki znajomych. Kiedy tak stali i zastanawiali się, co robić, wtedy tamci dwaj mężczyźni ich zaczepili. Jacek R. także twierdzi, że napastnicy byli pijani i chwiali się. Ten, którego później bili, zapytał ich wprawdzie: „Dlaczego, gówniarze, gapiacie się na nas?” Wtedy zaczęła się bójka.

Prawie dosłownie tak samo zeznał Mirosław A. Według niego, Konstanty G. miał ich zaczepić słowami: „Co się gapiacie, gówniarze” na co Jacek R. powiedział: „Chodźmy, damy im wpięrdol”. Mirosław wraz z Czesławem Z. pobiegli za tym, który uciekał, a kiedy wrócili, Andrzej i Krzysztof stali nad leżącym, a Jacek podchodził z kółkiem. Ale nie bili go już. Odeszli kilkanaście kroków, usiedli na ławce i rozmawiali o tym, co się wydarzyło. Potem rozeszli się do domów.

Ta duża rozbieżność pomiędzy zeznaniami sprawców pobicia a zeznaniem głównego świadka skłoniła funkcjonariuszy prowadzących dochodzenie do powtórzenia przesłuchania Franciszka M. Jego długa wersja wypadku różniła się od pierwszej. I to dosyć poważnie.

Franciszek M. potwierdził tylko połowę wcześniejszych zeznań. To prawda, Konstanty G. przyszedł do niego po południu, umówili się, że zperują gaźnik, ale skończyło się na wypiciu wódki. Jednak tej wódki było jakby więcej w każdym razie Franciszek M. nie upierał się już tak stanowczo, że wypili we dwóch tylko 300 gramów. Mogło być tego i pół litra, a nawet — wymawiał się brakiem pamięci — nie będzie zaprzeczał, iż wypili jeszcze więcej.

Natomiast odnośnie wydarzeń, które nastąpiły po zakończeniu picia i wyjściu z domu, pamięć Franciszka M. uległa wyraźnej poprawie. Przypomniał on sobie, że nie szedł cały czas wraz z kolegą. Otóż na ulicy Antoniukowskiej spotkał anajomę, którego przez dłuższy czas nie widział. Zatrzymał się więc, aby zamienić z nim kilka słów, a Konstanty G. poszedł dalej sam. Dlatego Franciszek M. nie może podać wiarygodnych informacji na temat samego początku zajścia. W pewnym momencie usłyszał, że Konstanty G. woła go po imieniu, odwrócił się i zobaczył, że do kolegi podbiega czterech chłopców. Franciszek M. nie przypuszczał jeszcze, że szykuje się coś groźnego. Zapytał chłopców, o co im chodzi, a jeden z nich, przyjmując postawę, jakby chciał się bić, odpowiedział: „Zobaczmy, cwaniaczki”. Franciszek M., nie czekając na dalszy ciąg i nie troszcząc się o koleżkę, rzucił się do ucieczki. Zanim się oddalił, usłyszał brzęk rozbijanej butelki. Po kilkunastu minutach był już w swoim domu i usiadł spokojny, przed telewizorem.

Nie przyszło mu do głowy, aby zainteresować się, w jaki sposób wybrnął z tarapatów jego kolega. Mieszkanie Franciszka M. dzieli od bloku, w którym mieszkał państwo G., nie więcej jak trzysta metrów. Pięć minut lekkiego spaceru. Można by sądzić, że najwykolejszym ludzkim odruchem powinien być niepokój o koleżkę, którego zostawiło się samego naprzeciw czterech agresywnych młodzieńców. Czy tę wrażliwość strępiła wypita wcześniej wódka? Franciszek M. nie chce na ten temat rozmawiać. Może knażeł: nie potrafił podać analizę swojego postępowania i nie rozumie mólch wątpliwości. Dlatego muszę w tej mierze zdać się na przypuszczenie. Franciszek M. bał się bardzo. Toteż jedynym uczuciem, które nim wówczas owładnęło, była radość, że on sam jest bezpieczny. Dlatego nie było już w jego umyśle miejsca na zainteresowanie się kolegą i o tym, co się z tamtym stało. Franciszek M. dowiedział

się dopiero następnego dnia od przesłuchującego go milicjanta.

Także Mirosław A., przesłuchany powtórnie, przypomniał sobie istotny szczegół. Kiedy wrócił z nieudanej gonitwy za Franciszkiem M., zauważył, że Jacek R. trzyma w ręku podłużny przedmiot o długości około osiemdziesiąciu centymetrów. Mirosław A. nie może z całą stanowczością powiedzieć, co to był za przedmiot, ponieważ zrobiło się już ciemno. Dopuszcza jednak możliwość, iż była to metalowa rurka. Z późniejszych rozmów z kolegami na temat zajścia dowiedział się, że właśnie tym przedmiotem bili był pokrzywdzony.

Tak więc następnego dnia po śmierci Konstantego G. prowadzący dochodzenie funkcjonariusze Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Białymstoku uznali, iż dysponują już wystarczającym kompletem dowodów. Trzem chłopcom, przesłuchiwany zrazu jako świadkowie, przedstawiono zarzuty popełnienia przestępstwa i każdy z nich został 3 maja przesłuchany powtórnie jako podejrzany. Wszyscy przyznali się i potwierdzili poprzednie zeznania. Do kompletu brakowało zeznań Czesława Z., ale nikt, nawet rodzice nie wiedzieli gdzie on przebywa.

Ojciec Czesława Z., przesłuchany jako świadek, stwierdził, że ostatni raz widział syna 3 maja o godzinie 6 rano. Młodzieniec uczy się w szkole zawodowej w Łapach, 20 kilometrów od Białego Stoku, i dlatego tak wcześniej wychodzi z domu. Kiedy syna już nie było (opowiadał dalej pan Z.), żona zauważyła, że zniknęła jej biżuteria: pierścionki, koleżki i złoty łańcuszek, co było warte około dwustu tysięcy złotych. Nie przypuszczali, że syn nie wróci do domu, dlatego nie zawiadomili milicji od razu. Kiedy pan Z. był w pracy, zatelefonowała żona, by poinformować go o kolejnej stracie: z jej portfela zniknęły wszystkie pieniądze, około 7 tysięcy złotych. Teraz nie mieli już wątpliwości, że syn ich okradł i uciekł z domu. Pan Z. pojechał natychmiast do szkoły i tam dowiedział się, że Czesław nie zjawia się na lekcjach od kilku dni.

Ojciec Czesława dość dobrze pamięta dzień 24 kwietnia. Zeznał, że syn wrócił wówczas po godzinie 22, a na pytanie, co tak długo robił poza domem, odpowiedział, że był z kolegami na podwórku. „O nic więcej go nie pytałem — zeznał pan Z. do protokołu — i nie zauważyłem żadnych zmian w jego zachowaniu się. Syn zachowywał się normalnie, jak zwykle”.

A czy nie zauważył niczego szczególnego w zachowaniu się syna tuż przed jego zniknięciem? „Tak — odparł pan Z. — Wczoraj, czyli 2 maja, późnym popołudniem Czesław rozmawiał przez otwarte okno z chłopcem, którego nazywają „Złotym” i po tej rozmowie płakał przez kilka minut. Nie chciał jednak powiedzieć, czego dotyczyła ta rozmowa i dlaczego płacze”.

Trzej sprawcy pobicia Konstantego G. to bardzo młodzi chłopcy. Jacek R., nazywany „Złotym”, który, wedle kolegów, zachowywał się najbardziej agresywnie i prawdopodobnie bil ofiarę kółkiem lub metalową rurką, nie miał jeszcze piętnastu lat i chodził do szkoły podstawowej. Mirosław A., pseudonim „Majster”, to o rok starszy uczeń pierwszej klasy szkoły zawodowej. Zaledwie szesnastu lat miał także Andrzej B., pseudonim „Zaba”, również uczeń I klasy zawodówki. Akta sądowe zawierają o każdym z nich opinię, sporządzoną przez dzielnicowego z III Komisariatu MO. Przepisuje niektóre dane.

Andrzej B. — „Mimo młodego wieku często spożywa napoje alkoholowe, utrzymuje kontakty z elementem przestępczym, często opuszcza zajęcia szkolne bez usprawiedliwienia, naukę traktuje w sposób lekceważący. W miejscu zamieszkania posiada negatywną opinię. Postępowanie opiniowanego budzi wiele zastrzeżeń”.

Mirosław A. również „nadużywa alkoholu i utrzymuje kontakty z elementem przestępczym”. Wpływały na niego częste skargi sąsiadów za zakłócanie spokoju i ordynarne zachowanie. Rok temu Mirosław A. odpowiadał przed Sądem dla Nieletnich za kradzież z włamaniem. Był to jego pierwszy konflikt z prawem, toteż wyrok zalecił jedynie „wzmocnienie nadzoru rodziców”.

Nie lepszą opinię sporządził dzielnicowy o trzecim podejrzany, Jacku R. Jego także widywano często pijanego w towarzystwie mężczyzn, którzy mieli za sobą wyroki sądowe. Na niego także skazyli się sąsiedzi. Niecały rok wcześniej za kradzież z włamaniem (okradł kilka samochodów) Sąd dla Nieletnich w Białymstoku skazał go na pobyt w domu poprawczym. Karę zawieszono na dwa lata, przydzielając chłopcu kuratora, który przez rok miał sprawować nad nim nadzór. Rok jeszcze nie minął, kiedy Jacek R. przyznał się do popełnienia nowego przestępstwa.

A przecież kiedy patrzyłem najpierw na fotografie tych chłopców dołączone do akt, a później rozmawiałem z nimi, robili oni jak najlepsze wrażenie. Toteż biorąc pod uwagę wygląd i grzeczne zachowanie, można by wziąć ich za synów z najlepszych rodzin, gdzie świat przestępczy i właściwy mu styl życia zna się wyłącznie z telewizji. Co więc spowodowało, że w ich młodość, a właściwie jeszcze dzieciństwo, wtargnął świat przemocy i podporządkował sobie ich życie? Jakże zadziałały tu mechanizmy — społeczne? rodzinne? szkólne? — że ci chłopcy uwierzyli, iż spryt, siła i agresja liczą się bardziej niż nauka, praca, to wszystko, co składa się na godziwe życie?

Te pytania pachną może dydaktycznym smrodkiem, tym bardziej, że chyba żaden spośród tych chłopców nie wartościuje rzeczywistości w powyższy sposób. Każdy jednak człowiek, nawet najmłodsze dziecko, porusza się po świecie według jakiejś skali wartości, wie, co mu wolno, a co zabronione. A kiedy jest starszy i potrafi samodzielnie dokonywać wyborów, kieruje się również według (przejrzystej) zasady, by wybierać to, co jest dla niego lepsze, korzystniejsze, wreszcie — łatwiejsze. Albowiem codziennym życiem także rządzi swoista ekonomia, która uczy, w jaki sposób łatwiej i lżej zdobyć to, co inni osiągnęli z trudem.

Zanim pobili na śmierć człowieka, którzy rzucił pod ich adresem — może? — kilka nieprzyjemnych słów, kradli. Czy kradli dlatego, że tak nauczyli ich dom lub że brakowało im na chleb czy rozrywki, co powodowało goręć i kompleksy wobec rówieśników?

Ojciec Andrzeja B. wyjechał dwa lata temu do Stanów Zjednoczonych, aby zarobić na założenie własnego przedsiębiorstwa. Tutaj, w kraju, jako podrzędny urzędnik firmy transportowej nie widział przyszłości dla siebie i rodziny. Regularnie przysyła pieniądze, „aby rodzinie niczego nie brakowało i nie czuli się zapomnieni”. Jednakże — przyznaje matka Andrzeja — listy pisze bardzo rzadko, a listu do syna nie napisał ani razu. Przez pierwszy rok nieobecności ojca Andrzej często go wspominał i lubił o nim rozmawiać. Ale od paru miesięcy nie mówi już o ojcu, a kiedy matka kieruje rozmowę na ten temat, Andrzej reaguje z wyraźną niechęcią i złością. Czy pisała o tym mężowi? Nie. Mówi, że nie chce go denuncjować, gdyż i tak ma tam nietławe życie.

Kiedy pytam ją, co sądzi o zachowaniu się syna, milczy, jakby nie umiała znaleźć odpowiednich słów. Po chwili broni go: Andrzej jest w domu bardzo grzeczny, chętnie pomaga, robi zakupy, nigdy nie odezwał się do matki złym słowem. Dlatego uważa ona, że to wszystko przez kolegów, przez „tych chuliganów”, i gdyby nie oni, syn na pewno by nie kradł i „nie wdawał się w burdy”. Ale spuszcza głowę i milczy przez dłuższą chwilę, kiedy sugeruję, że zmiana w postępowaniu Andrzeja wiąże się z przedłużającą się nieobecnością ojca w domu. Dwa lata to dla młodego człowieka w tym wieku cała epoka. Czy syn nie czuje się porzucony przez ojca i dlatego nie chce o nim mówić? Czy jego związanie się z grupą przestępczą nie jest poszukiwaniem jakiejś formy rekompensaty za to czego nie otrzymuje w domu?

Moją intuicję potwierdzają wyniki badań psychologicznych, którym poddano Andrzeja B. w zakładzie poprawczym. „Przynależność do grupy przestępczej — konkludują autorzy ekspertyzy — wynika z obawy odrzucenia przez środowisko. Trudność datują się zasadniczo od wyjazdu ojca do Ameryki”. Ale pierwsze kłopoty, na razie tylko szkolne, pojawiły się cztery lata temu, kiedy chłopiec rozpoczął naukę w V klasie.

Jak zaobserwowało kilkoro sędziów dla nieletnich, z którymi rozmawiałem o problemie przestępczości dzieci i młodzieży, właśnie piąta klasa szkoły podstawowej jest tym pierwszym problemem, za którym zaczyna się — jeżeli jej nie przeciwdziałać natychmiast — systematyczna demoralizacja. W V klasie nauka staje się nagle dużo trudniejsza niż w poprzednich czterech latach. Przybierają nowe przedmioty, od ucznia wymaga się myślenia abstrakcyjnego na dosyć wysokim poziomie, nie wystarczy już zajrzeć do podręcznika 5 minut przed lekcją, by być jako tako przygotowanym do lekcji. Toteż mniej zdolni uczniowie i tacy, którym rodzice nie potrafią pomóc, obserwują z niepokojem, że odstają od reszty klasy. Dla kogoś, kto do tej pory nie miał tego rodzaju kłopotów, uczył się jak inni i był chwalebny przez nauczycieli jest to bardzo przykre i stresujące przeżycie. Chłopiec zaczyna sam czuć się jak ktoś gorszy i aby poprawić swój wizerunek we własnych oczach, szuka zadośćuczynienia gdzieś indziej. A więc tam — gdzie nie będzie gorszy od kolegów, gdzie będzie mógł się czymś wykazać, a nawet zabłysnąć. Mogłoby to być sport. Ale dlaczego nie jest — dobrze wiemy i nie będę rozwijać tego tematu. Tym miejscem mogłyby być także koła zainteresowań (oczywiście na odpowiednim poziomie i nie tylko recytatorskie) i organizacje młodzieżowe. Ale także nie są i też wiemy — dlaczego.

Cóż więc pozostaje? Zaczyna się od kopania piłki na podwórku, ale jak długo można kopać piłkę na podwórku? Gdyby był w tej mierze system selekcji najlepszych, nagrody, dyplomy, cały ten genre, nasładowy prawdziwe życie sportowe... Ale tego nie ma i dlatego kopanie piłki na podwórku szybko staje się nudne. Organizacje młodzieżowe? Cóż, wiemy, ile znaczenia przywiązuje się tam do nadętej retoryki, a właśnie pułapkowo najsztybciej zniechęca młodego człowieka. Więc co? Co pozostaje?

(cdn.)

Secesja w architekturze Lublina (3)

Alicja Kurzątkowska

WYODREBNIONYM rejonem występowania dużej grupy zabytków secesyjnych, często uszeregowanych w całe ciągi, jest ulica Chopina i jej przecznice: Sądowa oraz Okopowa. Secesyjna zabudowa tych ulic odznacza się dużą indywidualnością, powodującą konieczność osobnego potraktowania tego zespołu. Najbardziej reprezentatywne przykłady owego nurtu secesyjnego znajdują się przy ulicy Chopina. W takim charakterze utrzymana jest właściwie cała nieparzysta strona tej ulicy z numerami od 5 do 15, z tym, iż każdy z domów cechuje się pewną odrębnością. Również w porównaniu z kamienicami przy ulicy 3 Maja, w których pewne tendencje, np. „rokokizowanie”, skłonność do form roślinnych — obok typowych dla secesji pionowych i poziomych rowkowań — powtarzały się, opracowanie domów przy ulicy Chopina jest zupełnie różne i bardziej oryginalne.

Nie można oczywiście omawiać wszystkich budynków. Nad kilkoma trzeba się jednak zatrzymać i wypunktować ich najciekawsze cechy. Dom przy ul. Chopina 7 wyróżnia się dużą ilością tarcz heraldycznych, sprowadzonych do znaków dekoracyjnych. Górna część fasady kamienicy pod nr 9, narożnej z ul. Sądową, jest wypełniona rozetkami na kwadratowych podstawach.

Najbardziej indywidualnie potraktowano kamienicę usytuowaną na przeciwległym narożniku z ul. Sądową pod nr 11. Wzniesiona ona została w r. 1912 przez architekta Henryka Paprockiego, ucznia Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. W bryle budynku, którego monumentalność podkreśla rustykowany parter i pierwsze piętro, dominującą rolę odgrywają dwa nadwieszane wykusze, zwieńczone zadaszoną loggią, oraz trzy płytkie ryzality ze szczytami. Z samego rozkładu okien i balkonów oraz asymetrii w ukształtowaniu elewacji wynika, że każde z mieszkań w tym domu jest inne.

Umiejętności architekta przyczyniły się do zapewnienia poszczególnym mieszkańcom nawet w kamienicy czynszowej swoistej intymności. W dekoracji domu, obok motywów secesyjnych, jak słonecznik, występują również inne, charakterystyczne dla nurtu poszukiwań narodowo-modernistycznych. Ich przejawem mogą być takie szczegóły, jak rozeta i choinka. Płaskie, linearne przedstawienie tych elementów budzi skojarzenia z wycinanką ludową.

W jeszcze innej stylistyce utrzymane są kolejne domy przy ul. Chopina pod nr 13 i 15. Ciekawszymi wydaje się dom pod nr 15, narożny z ul. Okopową, wzniesiony między 1910 a 1918 r. Jego bogata secesyjna dekoracja skoncentrowana została wokół trzech ryzalitów, z których najbardziej imponuje środkowy, narożny.

Podobna dekoracja, jaka znajduje się na fasadach domów przy ul. Chopina, występuje na ich elewacjach od ulic: Hipotecznej, Sądowej, Okopowej. Dość jednolicie prezentuje się zwłaszcza ul. Sądowa. W tej krótkiej uliczce najciekawszym zabytkiem jest kamienica pod nr 6, z pełnym secesyjnym wystrojem. Główna przecznica ul. Chopina to Okopowa. Dużą część parzystej jej strony w kierunku Narutowicza stanowią kamienice o charakterze secesyjnym pod nr 8, 14 i 16.

(cdn.)



Kamienica przy ul. Chopina 11

Fot. Przemysław Ostrzyżek

Sensacje z przeszłości

Dzielna Balowa

„**C**O za świat, co za świat! Groźny, dziki, zabójczy... Kogo nie zabił Tatażyn tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, zabił go sąsiad. Świat, w którym „notliwym” być trudno, spokojnym niepodobna” — pisał patetycznie o kresach południowo-wschodnich Rzeczypospolitej znakomity znawca XVI—XVII w. Władysław Łoziński.

Ciągle niebezpieczeństwo, zwłaszcza tatarskie, ukształtowało na kresach typ ludzi twardych, nie rozkuliwiających się nad sobą i innymi, u których cnót pokory na próżno by szukać. Tacy byli nie tylko mężczyźni, ale także „białogłowy”. Oto pierwszy z brzegu przykład.

W 1622 r. Teofila Chmielecka, żona sławnego zagończyka kresowego Stefana, wyszła publicznie młodą wdowę, szlachciankę Annę Walicką oraz uciętą biedaczkę nos, który rzuciła psom na pożarcie. Zdarzenie to potwierdził woźny, przysłany przez

sąd żytomierski. Oglądał on okaleczoną wdowę i stwierdził, że nosa pozabawioną została, a jej odcięty nos zjadły psy. Co było przyczyną owego okrucieństwa, nie wiadomo, jeśli była nią zazdrość, to trzeba przyznać, że Chmielecka sprawę rozwiązała radykalnie: oszczędzona tak okropnie Walicka na pewno przestała się liczyć jako rywalka do serca jej męża.

Inną z takich odważnych, groźnych, nieulekanych „wilczych kresowych” ukazuje „attestacja”, czyli pisemne zaświadczenie biskupa przemyskiego Achacego Grochowskiego, dołączone do pozwu sądowego, który wpłynął od jezuitów krośnieńskich do Trybunału Koronnego w Lublinie przeciw podkomorzynie sanockiej Jadwidze Bałowej.

Sprawa miała się tak. Jezuitów krośnieńscy wyludzili od męża pozwanej, podkomorzego sanockiego Piotra Bala, założyciela Baligrodu, zapis testamentowy, mocą którego za pewne usługi

duchowne ofiarowywał im swoją bibliotekę i 15 000 złotych gotówki. Po śmierci podkomorzego sanockiego jezuiti rozpoczęli bezwzględne dochodzenie u wdowy swych należności. Natrafili jednak na kobietę, która wobec nich nie myślała wcale grać roli gotębcy i zrealizować woli testamentowej męża.

Sporo światła na tę sprawę rzuca właśnie owa „attestacja” biskupa przemyskiego Achacego Grochowskiego. Oczywiście, była ona tak sformułowana, aby podkomorzynę sanocką przedstawić w jak najchłodniejszych barwach.

A oto co pisał biskup przemyski: „Wiadomo czynię jako pierwszy egzекutor testamentu nieboszczyka JMści Pana Piotra Bala, podkomorzego sanockiego, iż ojcowie jezuitów krośnieńscy, którym i bibliotekę, i pewną sumę pieniędzy nieboszczyk Pan podkomorzy odkazał tym względem, aby usługę duchowną pozostawili działkom jego odprawowali w majątności nieboszczykowskiej, wzięwszy z wydania JMści Pani podkomorzyny bibliotekę sobie odkazaną, chcieli w usługę duchownej nabożeństwa odprawować przed potomstwem nieboszczykowskim i na każdy rok starszy ojciec krośnieński wysyłał dwóch braci do odprawowania przed potomstwem nieboszczyka Pana podkomorzego nabożeństwa, ale za każdą razą nie puszczanej bywali za przeskądą Pani podkomorzyny, która jest albo kalwinka, albo arianka, do wsi i do dworu, ale i owszem zawsze wielkim bywali zesromoceniem nieuszanowania. Nawet gdy przeszłego roku ode mnie dwaj ojcowie jezuitów dla takiegoż

nabożeństwa jako i od pasterza, bo w mej diecezji ta jest majątność, i od starszego egzекutora testamentu nieboszczyka Pana podkomorzego byli poślani i sami wielkie odnieśli nieposzanowanie, i chłopą, który dał do kościółka klucza, miłą w łańcuchu przy sianach włóczyć Pani podkomorzyna kazala, i córki swe katoliczki przymusiła gwałtem jechać do zboru, i testament nieboszczykowski teraz nagania i pieniądze ojcom jezuitom oddać nie chce. Co wszystko tak jest, na to kapłańskim sumieniem tę daję attestację przed sąd Wielmożnych mych Miłościwych Panów, którym tę sprawę gorąco jako Bożą zalecam, przed którego majestatem nieboszczyk Pan podkomorzy, świętobliwy człowiek, stojąc, jako na małżonkę swoją o karanie albo raczej o obaczenie się jej prosi, tak się przyczynia o nagrodę WMściów o sąd sprawiedliwy. Ażeby ta attestacja była ważniejsza, ręką ją swoją podpisałem i pieczęć przycisnąłem rozkazalem. W Brzozowie 30 marca roku 1627. Achacy Grochowski, biskup przemyski”.

Niestety, o dalszych losach tej sprawy nie możemy powiedzieć, ponieważ akta Trybunału Koronnego w Lublinie z tych lat nie dochowały się do dzisiaj. Natomiast przytoczona powyżej „attestacja” biskupa przemyskiego została odnaleziona przeze mnie w zbiorach rękopisów Biblioteki Naukowej Uniwersytetu Lwowskiego im. I. Franki.

Adam Andrzej Witusik

Ważne dla turystów

Na trasie Widyń - Warna

TURYSTOM zmotoryzowanym, którzy w tym roku zamierzają spędzić wypoczynek na bułgarskim wybrzeżu, polecamy podróż trasą Widyń - Warna. Jest ona słabo znana, a przecież malownicza i atrakcyjna pod względem turystycznym.

Wiele wrażeń, zwłaszcza dzieciom, dostarcza przekroczenie granicy rumuńsko-bułgarskiej promem Kalafat - Widyń. Widyń - z zachowaną z czasów średniowiecza twierdzą „Baba Wida”, umocnieniami obronnymi z XVII w., oraz domami w stylu bułgarskiego odrodzenia narodowego z XVIII i XIX w. - stanowi początek tej interesującej trasy.

126 km dalej na trasie E-79 - miejscowość Wracca. Położona jest ona u stóp Gór Wraczańskich, które malowniczo wznoszą się nad miastem ostrymi, wapiennymi skalami. Miejscowa architektura daje wyobrażenie o średniowiecznych cerkwiach i domach z czasów odrodzenia, typowych dla całej Bałżarii północno-zachodniej. W zachodnim krańcu miasta, u podnóża wapiennego masywu, wybudowa-

wany został w ubiegłym roku nowoczesny Dom Turysty. Część hotelowa dysponuje 145 miejscami noclegowymi, restauracją, kawiarnią, sklepem z artykułami sportowymi i pamiątkarskimi. Amatorzy podróżują z namiotem lub przyozepa campingową znajdują dla siebie miejsce na campingu.

Na pewno nie pożałują ci, którzy zdecydują się na zbieżenie o 16 km z głównej trasy wiodącej nad morze. Droga, biegnąca koło Domu Turysty, na zachodzie kluczy wzdłuż rzeki Lewy i przemyka się między szczytami masywu krasowego Wraccate. Masyw ten jest jednym z najpopularniejszych obiektów alpinizmu w Bułgarii. Szczególną urodą odznacza się miejscowość Zgorigrad, gdzie wybudowany został Dom Alpinisty. Wyciąg krzesełkowy o długości 216 m dowozi turystów do jaskini Lednika, która od 1963 r., wraz z otaczającym ją 100-hektarowym obszarem, uznawana jest za osobliwość przyrody. W pierwszej i zarazem największej sali, zwanej „Przedścionkiem”, oglądać można niezwykle piękności lodowe stalaktyty i stałagmyty, stalaktony i wodospady, od których pochodzi

nazwa jaskini. Różnorodność i mnogość form plasują tę jaskinię wśród najbardziej znanych w Europie.

Szosa E-79 koło Botewgradu łączy się z trasą E-83, prowadzącą nad morze (192 km od Wracca położone jest Wielkie Tyrnowo, nadarza się okazja do zwiedzenia starej stolicy). W odległości 4-6 km warto zobaczyć, nie znaną większości turystów, miejscowość Koilofor. Rozciąga się tu niewielka dolina z kryształowo czystym jeziorem, otoczona wysokimi wzniesieniami Przedbalkanu. Można zatrzymać się na nocleg w Domu Turysty (220 miejsc, restauracja, dyskoteka, nie opodal camping).

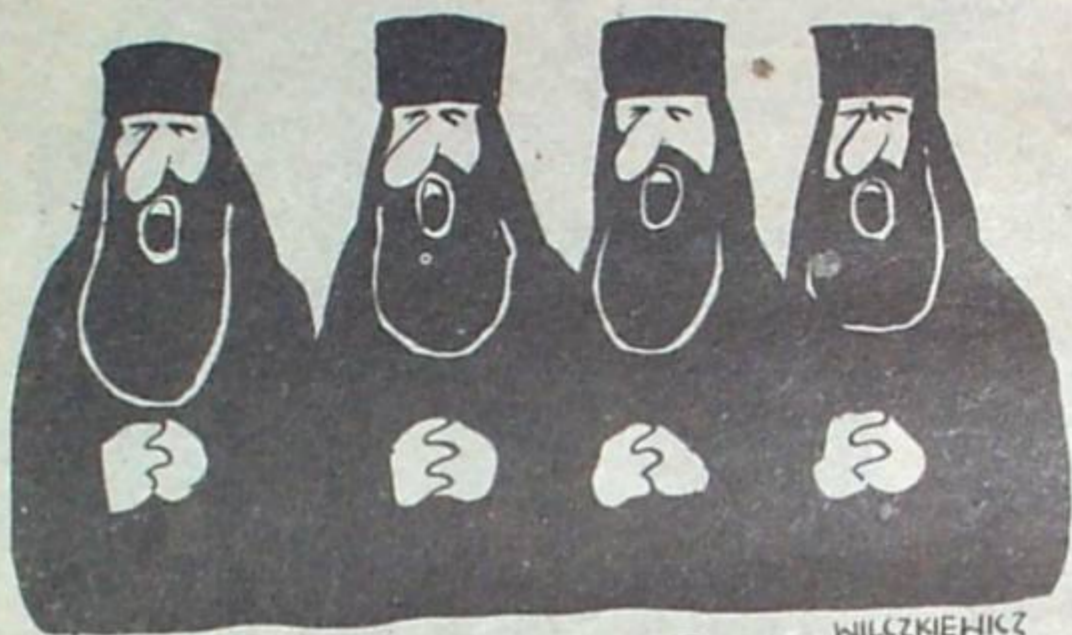
Niedaleko Koilofor znajduje się rezerwat architektoniczny Arbanasi, słynący z zachowanych tu najstarszych w Bułgarii domów mieszkalnych z XVII w., oraz znajdujących się w kilku cerkwiach fresków z XV, XVI i XVII w.

W pobliżu Arbanasi, wśród wielowiekowych lasów, ukryte są klasztory: Petropawłowski i Preobrażenski, do których wiedzie wyjątkowo malownicza droga.

Od Warny dzielą nas 228 km. Ciekawą krajozrazowo drogą można stąd dojechać do znanych miejscowości wypoczynkowych: Albeny, Drużby, Złoty Piasek i do dziesiątków campingów położonych wzdłuż czarnomorskiego wybrzeża.

Georgi Popow
(Sofia-Press)

Z teki Tomasza Wilczkiewicza



Pop-music®

WILCZKIEWICZ

Z POTRAW TYPOWO
POLSKICH POLECAM:

- PIEROGI RUSKIE
- BARSZCZ UKRAIŃSKI
- ZRAZY PO NELSONSKU
- I FASOLKA PO BRETOŃSKU



WILCZKIEWICZ



WILCZKIEWICZ

Krzyżówka nr 13 z szyfrem

Poziomo: A, autor „Wiśniowego sadu” ● chirurgiczny nóż ● biały lub czarny w fortepianie, C, złe przyzwyczajenie ● kontroler, D, przewod plynów i gazów ● posąg ● ciężki, ale niezbyt twardy metal, E, gasienica ● doza, F, zwierzę domowe ● papierowa, plastikowa lub skórzana ● w jej domu mieści się w Warszawie Teatr Buffo, G, przyczyna kary ● płynie przez Kielecczynę, H, w herbie Szczecina ● u Lutowskiego „Ostry...” ● kwas kuchenny, I, starożytne naczynie z dwoma uchami ● nie-zawodowiec, J, kończyzna górna ● przewoźnik nasienia klonu ● w dal, wzwyż, i o tyczce, K, wysokogatunkowy węgiel ● ustawowe darowanie kary, M, swoboda ● rozkład na części składowe ● widział na własne oczy.

Pionowo: 1, skorupa stłuczonego naczynia lub czaszka ● miasto wojewódzkie nad Wartą, 3, wędruje po cztą, 4, pokrywa dziurę w pończosze ● dzielnica wielkiej Warszawy, 6, krowiaczkę pszczoł ● nieprzetłumaczalny zwrot danego języka ● drapieżny dziki kot, 8, kwitną w czasie matur, 10, zawiązany pod szyją ● jeden z przywódców rewolucji francuskiej stracony za sprawą Robespierre'a, 12, w teatrze lub masonerii ● podstawa wyżywna Azji ● tam ma być w tym roku olimpijska rozgrywka, 14, część światła ● popularnie nazywany hylem, 16, oczekiwanie w odosobnieniu w oczekiwaniu na objawy choroby, 18, ziemia ● jedno w każdym atomie ● takt silnika, 20, afermentowany sok z owoców ● moc, 21, przekładczyni, 23, ten, kto ocala kogoś ● postępujący celowo w danej sytuacji.

SZYFR

K4, M19, H22 / L12, E5, A14, H1, L16 / A20, F18, H23, A13, M3, K20, A7, H6, M17, A1, D11 / C12, C15 / A18, B14, C18, L23 / E14, A6, A22, F10, G19, M1, F2, L20 F20 / C20, F14 / J12, M18, E15, M13, K15 / E17, A23, E1, E5, K17 / M23, C4, L1, M12, D22, C7 / H12, B4, E23, K9 / F13, H18, M5, J16, B20, A15, C17 / L4 K8, A5 / J8, I,8 A12, K16.

J22, M6, E23, G17 / M9 / J10, A31, A3 / F1, M2 / C21, I18 / C12, L8, J23, H11 / E18, B18 / M10, E6, D10, C19, F22, M14, H3, A18, G6/4

Rozwiązanie krzyżówki i szyfru należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy za 1000 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 11 Z SZYFREM

Poziomo: konieczność, kwarantanna, ślad, potwierdzenie, tren, interna, stempel, praktyk, prostota, Tekla, dźwignia, platerzy, Potocki, szczapa, metr, farmakogno-

zja, loki, chrabaszcze, Łambinowice, Pionowo: kości, pomoc, Troja, Indie, terma, pantograf, nuta, lam, brąz, świat, oracz, elekt, Srem, obol, palec, wizje, kanwa, ring, oda, czub, Eurowizja, Artek, zalew, Tonga, Asnyk, Alice.

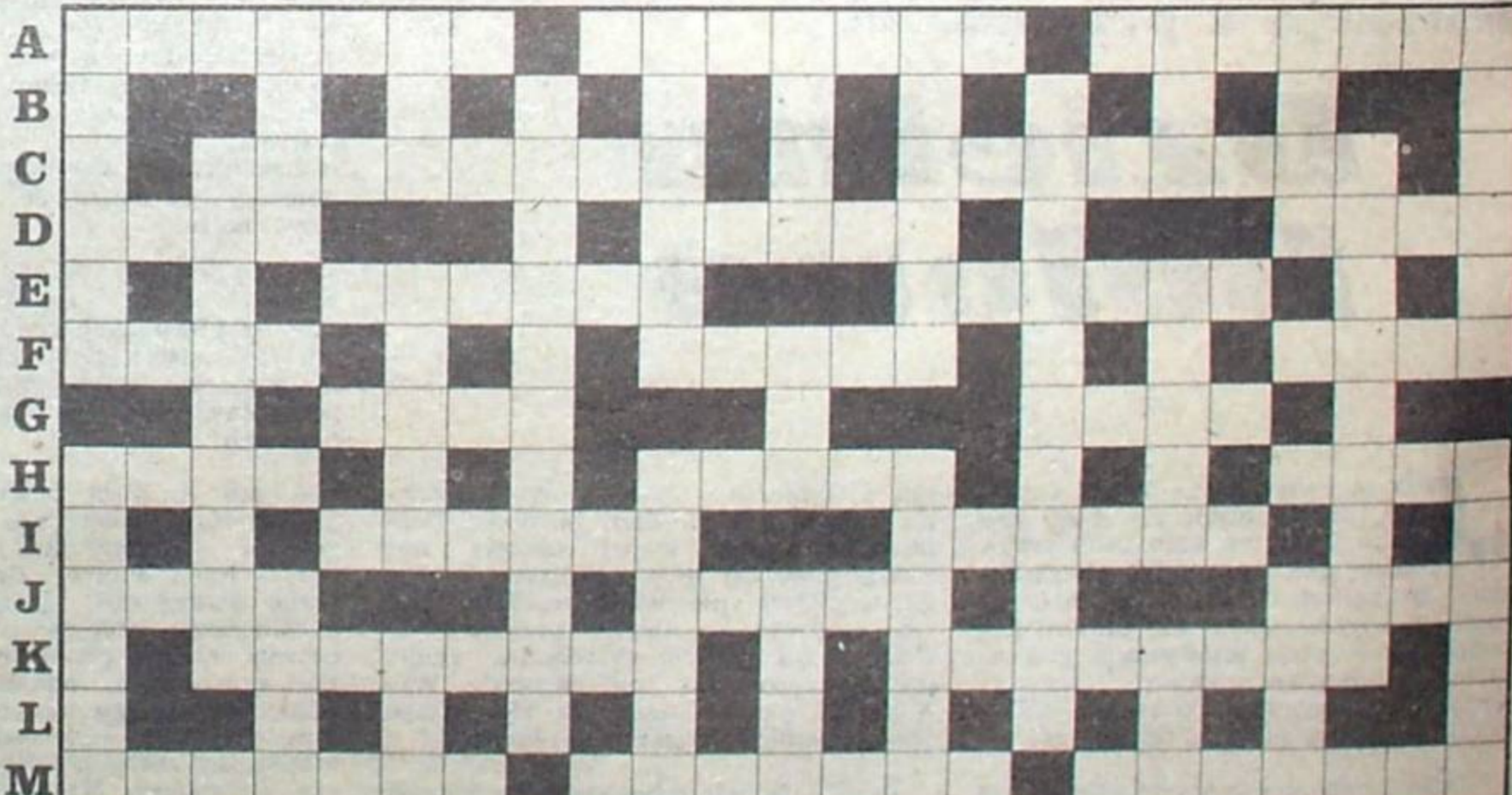
SZYFR

Wolność śliczynienia jest znakiem niedoskonałości rządu, a nie prerogatywą wolności.

Andrzej Zamojski - kanclerz 1767 - cytowany przez Aleksandra Bocheńskiego w „DZIEJACH GŁUPOTY W POLSCE”.

Nagrodę wylosowała Anna Kowalczyk, ul. Paganiniego 4 m. 145, 20-854 Lublin.

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23



Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórci (sekretarz redakcji) osłonkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Ireneusz J. Kamiński, Andrzej W. Pawluczuk (sprawy literackie). Redaktor techniczny - Ewa Dybek, korektor - Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych zastrzega sobie prawo skrótoów.

Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. „KW” w Lublinie ul. Unicka 4

Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „SW” „Prasa - Kasa” - „Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Janka 6, tel. 220-88

Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 220-88, sekretarz redakcji 220-88, dział publicystyki i literacki 220-88. Korespondencje swykie prosimy kierować pod adresem:

20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecane i ekspresowe - pod adresem redakcji.

Zam. 1999 23.04.99 r. A-3